Łódź odgłosy
tygodnik społeczno-kulturalny
NR 10 (1213) ROK XXIV 8 MARCA 1981 R. CENA 3 ZŁ

Wacław Opacki

W KOLEJCE PO KLUCZE

Zbliża się termin sporządzania przez spółdzielnie projektów list przydziałów mieszkań. W 1980 roku przy opracowaniu listy po raz pierwszy został powszechnie zastosowany system komputerowego wyboru kandydatów na mieszkania, co miało być pomocne przy ostatecznym ułożeniu listy przydziałów. W oparciu o ten system utworzony został bank informacji o członkach wszystkich spółdzielni w kraju. Każda spółdzielnia otrzymała wykazy swoich członków, uszeregowanych w kolejności uwzględniającej m.in. warunki mieszkaniowe i okres oczekiwania na mieszkania, z podziałem na młode małżeństwa, rodziny wielodzietne, emerytów i rencistów oraz pozostałych członków. Na podstawie tych wykazów zarządy spółdzielni po zasięgnięciu opinii społecznych komisji mieszkaniowych sporządziły ostateczne listy przydziałów.

Nie zostały spełnione nadzieje wszystkich. W tym roku zawiedzionych będzie jeszcze więcej. Spółdzielcza kolejka już jest niesamowicie długa, a w dodatku spółdzielczość mieszkaniowa przeżywa kryzys wraz z całym państwem. Mimo że w ostatnich latach jesteśmy świadkami niespotykanej dotąd przeprowadzki Polaków do nowych mieszkań — zadowolonych znów będzie tylko nikła część. I jest to problem, który nurtuje społeczeństwo, bowiem wiąże się on z zaspokojeniem jego podstawowych potrzeb. Wbrew optymistycznym zapowiedziom, droga do własnego mieszkania wydłuża się. Niektóre spółdzielnie realizują przydziały jeszcze sprzed 3 lat.

Ciąg dalszy str. 3

Foto: R. Łucyszyn

Krótszych kolejek, więcej czasu dla siebie (i dla nas), częstszych okazji do uśmiechu życzy pięknej połowie społeczeństwa brzydsza połowa

Tomasz Soldenhoff

BUNT 3 PÓŁPRODUKTÓW

OD RED. W poprzednich częściach (ODGŁOSY nr nr 5 i 8) autor zrelacjonował przebieg wydarzeń w środowisku akademickim do momentu podpisania porozumienia między Komisją Międzyresortową, a strajkującymi studentami. Poniższy tekst uzupełnia tamte relacje o inne, mniej znane fakty, mówiące o współudziale władz miasta i uczelni w rozwiązaniu konfliktu. Do zasygnalizowanych tu problemów będziemy powracać, towarzysząc realizacji podpisanych w Łodzi porozumień.

Nazajutrz po odwołaniu strajku mury miasta pokryły się hasłami:

STUDENCI DZIĘKUJĄ SPOŁECZEŃSTWU ŁODZI!
WASZA POMOC POZWOLIŁA NAM WYTRWAĆ!

Trzeba było widzieć poruszenie, jakie wśród strajkujących wywoływała każda solidarnościowa depesza, od pierwszej — wysłanej przez nauczycieli z „Solidarności" przy Szkole Podstawowej nr 137 („Jesteśmy z wami. Wasza walka jest słuszna. Wytrwajcie") do jednej z ostatnich, podpisanej przez załogi największych łódzkich fabryk... Nie przeszły bez echa postulaty, nie pozostał bez odzewu apel o wsparcie. Przed „bramkami" rosły stosy wiktuałów (wiele domowej roboty...), a drżące ręce wciskały pieniądze w dłonie nieznajomych studentów. Pani *Zofia Dwornik* każdego wieczoru przynosiła dla nocnej zmiany gwardii dziesięć litrów mleka i bułki, a na uroczystości podpisania porozumienia zasiadła, jako gość studentów, w pierwszym rzędzie, z pękiem biało-czerwonych goździków...

Wbrew opiniom, które rozpowszechniano chcąc zniechęcić do studentów społeczeństwo, i temu, co przesadnie zaakcentował publicysta „Polityki" („odgłosy zniecierpliwienia" i „potępienie" w środowiskach robotniczych), studencki styczeń odbudował przerwaną po Marcu nić między studentami a resztą społeczeństwa. I choć — jak uważam — „robienie polityki" nie było celem strajku, studenci wystarczająco dobitnie zamanifestowali swoją solidarność z robotniczym — u podstaw — ruchem odnowy, dowodząc poprzez postulaty społeczno-polityczne, że chcą walczyć o realizację jego najważniejszych haseł. Haseł, które popiera naród.

Dzisiaj nawet rektorzy podkreślają, że studenci — w swej masie — wykazali zaskakującą dojrzałość i odpowiedzialność...

— *Strajk był znakomitą lekcją dla obu*

Ciąg dalszy str. 5

Jerzy Katarasiński

PRASA POD CIŚNIENIEM

Prasa, której rolą było wywieranie presji, tym razem sama jest pod ciśnieniem. Nawet ci Czytelnicy, którzy do pewnego czasu czytywali tylko program Tv i kin oraz rubryki sportowe, rzucają się na każdy zadrukowany kawałek papieru, zasypują listami redakcje pism i gazet. I nie dotyczą te listy wyłącznie skarg na ADM, urzędników, sprzedawców; znacznie częściej — spraw wagi ogólnopaństwowej, moralności, demokracji, sprawiedliwości i... samej prasy.

Niezależnie od tego, czy piszący mają rację, czy też nie, jest to objaw krzepiący. Świadczy on o tym, iż społeczeństwo nie straciło jeszcze wiary w możliwość komunikowania się ze sobą w pionach i w poziomach, krzyżowo, dołu z górą i góry z dołem.

Badania nad prasą wykazują jednocześnie, iż gazety, które do tej pory były czytane po łebkach, a ściślej mówiąc po tytułach, czytane są teraz na sposób badaczy Pisma Świętego — uważnie, wnikliwie, między wierszami. Lubią też czytelnicy porównywać, zestawiać, gdzie co jest, a czego nie ma i dlaczego, jakie stoją intencje za pominięciem jednej informacji, a puszczeniem drugiej. Nic w tym dziwnego, ani nic niepokojącego. Przeciwnie — taka postawa może tylko dobrze zrobić gazecie, a i w ogóle naszemu zawodowi, który, deprecjonowany przez lata, odzyskuje jakby swoją rolę i rangę. Dzien-

Ciąg dalszy str. 2

HISTORIA ŁODZI W MÖNCHEN-GLADBACH

KRZYSZTOF WOŹNIAK

Nie mija zainteresowanie historyków zachodnioniemieckich przeszłością łódzkiego okręgu przemysłowego. Problematyka ta stanowi jedną z licznych gałęzi tzw. badań wschodnich („*Ostforschung*"). Terminem tym określano (i określa się nadal) badania dotyczące problematyki krajów Europy wschodniej i południowo-wschodniej, zapoczątkowane w końcu XIX w. w Niemczech i Austrii, a współcześnie kontynuowane w RFN. Miały one przede wszystkim dostarczać argumentów dla uzasadnienia polityki *Drang nach Osten*. Obecnie „*Ostforschung*" służy głównie ośrodkom rewizjonistycznym, wśród których doniosłą rolę odgrywają organizacje ziomkowskie i przesiedleńcze.

Ruch ziomkowski, jako podstawowy nurt współczesnego rewizjonizmu niemieckiego, nie jest zjawiskiem samoistnym, lecz nieodłącznym elementem polityki zachodnioniemieckiej. Pod pojęciem rewizjonizmu zachodnioniemieckiego rozumiemy głównie dążenie do rewizji granic Niemiec, ustalonych w układzie poczdamskim, w tym w pierwszym rzędzie — granicy z Polską.

Ziomkostwa są organizacjami społeczno-politycznymi, które mają określony program polityczny. Same chętnie określają siebie jako „*bojowe organizacje polityczne*" (*politische Kampfverbände*), co wyraźnie precyzuje ich postawę. Mają wspólną linię działania, której cechą charakterystyczną jest oparcie się na tradycyjnym „*Drang nach Osten*". Nacjonalistyczna propaganda ziomkostw stawia za główny cel „*prawo do stron rodzinnych*" (*Recht auf die Heimat*), nie mające żadnego uzasadnienia z punktu widzenia prawa międzynarodowego. Dostrzegają to nawet niektórzy naukowcy zachodnioniemieccy, stąd też często spotykamy podbudowę teologiczną tego hasła. W skład ziomkostw wchodzą zarówno Niemcy przesiedleni na mocy układów poczdamskich z 2 sierpnia 1945 r., jak i Niemcy, którzy tereny przez siebie zamieszkane opuścili w obliczu zbliżającego się frontu. Dla tych właśnie grup stosuje się powszechnie nazwę „*wypędzeni*" (*die Vertriebene*).

Organizacją skupiającą w swych szeregach największą liczbę Niemców z obszaru Polski środkowej jest *Ziomkostwo Wisły—Warty* (*Landsmannschaft Weichsel—Warthe*). Skład LWW jest bardzo niejednolity, ponieważ skupia ono grupy ludności niemieckiej silnie zróżnicowane pod względem kulturowym, społecznym i zawodowym. Czołową rolę odgrywają w nim Niemcy z Polski środkowej i Wołynia.

Inicjatywa utworzenia LWW w Niemczech zachodnich wyszła ze środowisk kościelnych, korzystających od początku z pomocy dawnych działaczy politycznych i gospodarczych mniejszości niemieckiej w Polsce, przed wojną przeważnie członków hitlerowskich stronnictw politycznych. Bezpośrednimi prekursorami LWW były zakładane od

Ciąg dalszy str. 4

KRONIKA KULTURALNA

W ŁODZI GOŚCIŁ chór Akademii Rolniczej z Lublina. Zespół został zaproszony przez Akademicki Chór Politechniki Łódzkiej. W programie koncertu, jaki odbył się w minioną sobotę w sali koncertowej i Muzeum Historii Miasta Łodzi, znalazł się bogaty wybór utworów mistrzów różnych epok, stanowiący szeroką prezentację różnych rodzajów muzyki — od sakralnej poczynając, a na ludowej kończąc. Jako soliści wystąpili: Roman Dubieński (flet) i Jeremiasz Bełziak (gitara).

W KLUBIE DZIENNIKARZA obejrzeć można wystawę grafik Jerzego Cicheckiego, na ekspozycji studia małych pejzaży wykonane piórkiem oraz kompozycje figuralne wykonane węglem, a także kilka prac z cyklu „Zamki na lodzie".

W CENTRUM KULTURY Włókniarzy „Dąbrowa" otwarta została przy współudziale Ośrodka Kultury i Informacji NRD wystawa rysunków Heinricha Zille, przedstawiających stary Berlin, a także wystawa malarstwa europejskiego.

TEATR IM. J. TUWIMA przygotował nową premierę. Jest to spektakl oparty na motywach „Antygony" Sofoklesa. Reżyserem przedstawienia i autorem dramatyzacji jest Józef Jasielski. Jasielski wprowadził do dramatu współczesne utwory poetyckie Zbigniewa Herberta i Czesława Miłosza. Muzykę do spektaklu napisał Jerzy Woźniak, autorem scenografii jest Elżbieta Iwona Dietrych. W rolach głównych wystąpili Jolanta Szayna, Barbara Rogacka-Ford oraz Remigiusz Rogacki.

JUŻ WKRÓTCE — w dniach 7 i 8 marca Państwowy Teatr Lalek „Pinokio" w Łodzi wznawia spektakle cieszącego się dużym powodzeniem u łódzkiej publiczności „Czarnego kabaretu" Marcina Wolskiego i Andrzeja Zaorskiego.

W DNIU 22 lutego br. odbył się Zjazd Sprawozdawczo-Wyborczy Okręgu Łódzkiego Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich.

Trzecim w historii Stowarzyszenia (działającego w Łodzi od r. 1919) prezesem został mgr Andrzej Kempa — wicedyrektor Miejskiej Biblioteki Publicznej im. L. Waryńskiego w Łodzi.

W skład nowego Zarządu weszli: mgr Lucyna Sułkowska — wiceprezes, dr Hanna Tadeusiewicz — wiceprezes, Maria Szczuka — sekretarz, Jadwiga Szczepaniak — skarbnik, członkowie: mgr Monika Ziomek, mgr Zofia Kwaśniewska, dr Janusza Dunin, płk Marian Kowalik, Zofia Lindner, mgr Jadwiga Nowakowska, mgr Krystyna Wołczyk.

Honorowym członkiem Zarządu została mgr Izabela Nagórska.

W DNIU 21—22.II. br. w klubie Pracowników Służby Zdrowia i Opieki Społecznej w Łodzi, ul. Roosevelta 18, odbył się zjazd sprawozdawczo-wyborczy Unii Polskich Pisarzy Medyków, na którym wybrano nowe władze.

Przewodniczącym Unii został ponownie doc. dr med. Marcin Łyskanowski, wiceprzewodniczącym doc. dr med. Jacek Juszczyk i dr med. Barbara Szeffer, skarbnikiem dr Józef Wójcik.

W skład 9-osobowego zarządu weszło 5 osób z Grupy Łódzkiej UPPM. W drugim dniu zjazdu zorganizowana została sesja literacka nt. działalności pisarskiej i wydawniczej UPPM.

Prace zamieszczone w 2 n-rze almanachu Grupy Łódzkiej „Spektrum 1979" (obecnie ukazał się w księgarniach) przedstawił red. wydawnictwa dr Jerzy Poradecki.

O PIERWSZYM ogólnopolskim Zjeździe w Łodzi klubu Adwokatów Pisarzy w dniach 17 i 18 lutego 1979 roku i o pisarzach adwokatach zajmujących się twórczością literacką i dziennikarską pisaliśmy w numerze 9 z dnia 4 marca 1979 roku. Dzisiaj informacje te rozszerzamy o dane dotyczące przebiegu całego zjazdu.

Akces do udziału w projektowanym Klubie zgłosiło 51 pisarzy z różnych miast w Polsce.

Pierwszy zjazd miał charakter rozpoznawczy. Organizatorom szło o zasięgnięcie opinii zainteresowanych uczestników. Po zapoznaniu się z ich poglądami został zwołany do Łodzi drugi zjazd w dniu 18 listopada 1980 r. w ramach działań Ośrodka Badawczego Adwokatury w Warszawie. Wybrano Zarząd Klubu; do Prezydium weszli: przewodniczący adw. Alfred Dreszer; wiceprzewodniczący adw. Henryk Nowogródzki, sekretarz adw. Juliusz Leszczyński. Wyłoniono również Komisję Wydawniczą, w skład której weszli: adw. Kazimierz Kretowicz, adw. Karol Pędowski, adw. Henryk Nowogródzki, adw. Helena Piekarska która reprezentuje Klub w redakcji „Palestry". Działalność Klubu będzie się koncentrować na utrzymaniu łączności pomiędzy adwokatami pisarzami, na ułatwianiu im wydawania ich utworów, organizowaniu spotkań z czytelnikami itp.

„SZOPKA POLITYCZNA" — spektakl, którego inicjatorem jest Stowarzyszenie Twórców Kultury, cieszy się ogromną popularnością. Bilety wysprzedane są obecnie do 15 marca włącznie. W związku z tym Zarząd Stowarzyszenia podjął decyzję dalszego eksploatowania tego programu, tak by wszyscy zainteresowani mogli go obejrzeć.

„Szopka" jest uaktualniana i prawdopodobnie wejdzie na stałe do repertuaru Stowarzyszenia Twórców Kultury. Przy okazji przypominamy, że bilety rozprowadzane są codziennie w siedzibie Stowarzyszenia, al. Kościuszki 33, w godzinach od 9 do 15, tel. 250-37.

ZARZĄD STK

PRASA POD CIŚNIENIEM

Ciąg dalszy ze str. 1

nikarze, będący pod takim ciśnieniem, chcą tego, czy nie, muszą wracać nie tylko do prawdy, rzetelności itp., ale również do sprawnego warsztatu; na nowo uczą się wagi słowa, budowy zdania, pozbywają się okazjonalnego bełkotu pokrywającego pustkę myśli, stereotypowych fraz używanych automatycznie, jak za pociśnięciem klawisza maszyny.

Prasa, mająca do tej pory oficjalny monopol na informacje, a przez to stojąca w uprzywilejowanej (pożal się Boze) pozycji, jest pod ciśnieniem nie tylko swoich Czytelników, ale też Czytelników prasy jakby mniej oficjalnej — biuletynów, ulotek, afiszów itp., przynoszących informacje z dziedzin, które były,a niekiedy i w dalszym ciągu są tabu. Jest też prasa „oficjalna" pod bezpośrednim ciśnieniem prasy „nieoficjalnej", podejmującej niekiedy polemiki z „oficjalnymi" publikacjami. Z reguły polemiki takie nie mają dalszego ciągu, prowadzone są na zasadzie „gadał dziad do obrazu", bo jak tu odpowiadać czemuś, co jest, a go nie ma.

Na skutek tego, niezależnie od zmian, jakie się w niej dokonują, w dalszym ciągu prasa „oficjalna" stoi w sytuacji moralnie dwuznacznej, powiedzmy ściślej — postawiona została, a niekiedy jest utrzymywana celowo. Monopol prawdy — psychologicznie rzecz biorąc — przechodzi na stronę mniej oficjalną. Czy nie tworzy się wobec tego niebezpieczeństwo kolejnych manipulacji? Pytanie chyba retoryczne.

Jest więc prasa, można to tak określić, prasowana na gorąco, i to jednocześnie z góry, z dołu i z boków. Z góry — bo niektórzy decydenci, zwłaszcza ze świeżych wojewódzkich szczebli, nie mogą jeszcze odwyknąć od ustalania co w prasie ma być (i jak), a czego ma nie być. Nie do wyjątków wcale należą sytuacje, w których maszynopisy trafiają do drukarni z obowiązującym (!) stemplem decydenta, a cała gazeta, zanim spłynie z maszyny rotacyjnej, jest wnikliwie „sczytana" (jeśli nie podyktowana) przez miejscowy aktyw. Z dołu — bo czytelnik (o tym już było). Z boków — bo prasa „nieoficjalna". I jak tu żyć? Jeśli czasem rozlega się syk, znaczy to, że prasa przyciśnięta została mocno, boleśnie.

No, nie przesadzajmy. Dziennikarzowi lepiej jest żyć teraz, niż przedtem. Dziennikarzowi — czytaj prawdziwemu dziennikarzowi, któremu chodzi o sprawę, nie o legitymację, o uznanie społeczne, a nie o uznanie w starannie dobranych gronach towarzyskich.

Nie przesadzajmy, bo o tym, iż powoli wydobywamy się ze stanu gorączkowej bieganiny za samymi sobą, z ciągłego, a nerwowego spoglądania w lustra — czy mamy już twarz, czy jeszcze nie — świadczy fakt, że nachodzi nas potrzeba głębszej refleksji nad stanem zawodu, nad jego podstawowymi uwarunkowaniami, nad słowami „prawda", „obiektywizm", „tendencyjność" itd., itp.

Wyrazem takiej potrzeby było Ogólnopolskie Forum Prasy Partyjnej, zorganizowane w ubiegły piątek w Łodzi przez Redakcję „Głosu Robotniczego", które też stało się inspiracją do powyższych i poniższych uwag. Mimo iż tytuł Forum bezpośrednio wskazywał na prasę partyjną, to jednak wiele z głosów w dyskusji można odnieść do znacznie szerszych gremiów zajmujących się zawodowo środkami społecznego komunikowania. „System informacji jest źle wykształcony nie tylko w naszym kraju — stwierdził kierownik Wydziału Prasy, Radia i Tv KC PZPR, Józef Klasa. — Jest to problem ogólniejszy, ponieważ nie możemy się uwolnić od szerszych realiów politycznych. Wadą tego modelu jest odrywanie się od rzeczywistości, co można prześledzić choćby na podstawie naszych kryzysów 1948 r. i 1956 r. Odchodzenie w takich momentach od dialogu, od polemiki, od szerokiej analizy zjawisk, zapędzało partię i jej propagandę w kolejnę sztywnego stanowiska, w którą nie powinna się była dać zapędzić. Zło jest bowiem i na prawicy i na lewicy — trzeba to widzieć w momentach kryzysów, aby nie dać się znów wmanewrować w jedną schematyczną koleinę. Istnieje idea nadrzędna — socjalizmu i demokracji, która nadal nie jest wykorzystywana przez środki masowego oddziaływania, tak jak nie jest wykorzystywany właściwie wielki potencjał marksizmu-leninizmu".

Gazeta partyjna — stwierdzono podczas Forum — powinna być gazetą lewicy, lewicowych postaw i lewicowej myśli.

Jest to formuła dość szeroka, pojemna, ale jednocześnie przecież wyraźnie ukierunkowana. Konsekwencje, jakie z niej wypływają, nie muszą dotyczyć wyłącznie gazet pism, stricte partyjnych. Stwarzają też pokusę do dalszych refleksji.

W związku z funkcjonowaniem środków społecznego komunikowania — prasy, radia i Tv — na nowo odżyło wiele wielkich słów. Mówi się o tym, żeby gazety itp. pisały prawdę i tylko prawdę (— ale nie całą — dodają mniej, lub bardziej żartobliwie niektórzy). Żeby były obiektywne. Żeby pozbyły się tendencyjności. Itd., itp.

I otóż tu jest pies pogrzebany. Dopóki bowiem o prawdzie, obiektywności, tendencyjności, mówi się w kategoriach bardzo ogólnych, każdy w zasadzie zgadza się na to, aby używać tych słów. Kiedy jednak przychodzi do praktyki, sprawa nie jest wcale taka prosta, ani oczywista.

Cóż to bowiem znaczy **prawda** w gazecie (pomijając aspekt filozoficzny tego pojęcia i chociażby taki mały problem jak to, czy docierając do prawdy nie ingerujemy w nią i tym samym nie zniekształcamy). Aby kwestii całej nie skomplikować nadmiernie, przyjrzyjmy się gazecie po prostu jako zbiorowi faktów (obiektywnych?!). Czy można zamieścić w gazecie wszystkie fakty dziejące się jednego dnia na świecie? W kraju? w mieście? Musimy dokonywać wyboru. Według jakich kryteriów? Oczywiście, że **subiektywnych.** I już w tym momencie, dokonując selekcji informacji, dokonujemy jakiejś **manipulacji,** kierujemy się niczym innym jak **tendencją. A fakt obiektywny? Proszę bardzo.** Oto w prasie amerykańskiej pojawia się (10 lat temu, kiedy nie było jeszcze z nami tak źle), informacja o tym, że Polacy są pierwsi w świecie, jeśli chodzi o spożycie kapusty. Prawda? Prawda. Tylko co ona znaczy dla czytelnika amerykańskiego. To, że Polacy są krajem najbiedniejszym w świecie. Bo w USA, co kraj, to obyczaj, kapustę, jeżeli już ktoś je, to wyłącznie biedota.

Proponowałbym więc drogim Czytelnikom, aby dobrze przemyśleli te sprawy. **Prawda** w gazecie? Tak, ale tylko w postaci braku świadomego fałszu, brutalnej **manipulacji. Obiektywizm?** Tak, ale jako najszerzej pojęta **uczciwość intencji** w przedstawianiu faktów, zdarzeń, opinii. **Tendencyjność? Ależ tak.** Nie umiemy być inni, ani w prasie partyjnej, ani bezpartyjnej, ani w ateistycznej, ani wyznaniowej, ani „oficjalnej", ani „nieoficjalnej". Tendencyjność rozumiem tu po prostu jako chęć przedstawienia swojej racji poglądu, przekonania — i walki o nie. Czy takiej tendencyjności trzeba się wstydzić?

Dobrze, żebyśmy sobie to dobrze uświadomili zarówno ci, którzy piszą (mówią) jak i ci co czytają (słuchają), bo dopiero wtedy sytuacja wokół środków masowego komunikowania stanie się moralnie czysta i jasna.

Jakie są społeczne pożytki z takiego postawienia sprawy? Otóż wyrobienie niezbędnej dla naszego społeczeństwa tolerancyjności, uświadomienie sobie, że nie każdy, kto myśli inaczej niż my, jest wrogiem. Otóż możliwość wypośrodkowania racji i większe szanse na podejmowanie społecznie akceptowanych decyzji. Otóż rzeczywiste, a nie tylko zadekretowane porozumienie społeczne.

JERZY KATARASIŃSKI

CO Z TĄ LITERATURĄ

Zanim omówimy przebieg dyskusji w Muzeum Historii Miasta najpierw nieco danych przedstawionych przez Władysława Orłowskiego w „Informacji o stanie książki i pisarzach Łodzi". Dowiedzieliśmy się z niej, że w pierwszych latach po wojnie opuściło Łódź 68 członków Związku Literatów Polskich. Jest to mniej więcej tyle ilu działa ich w mieście obecnie. Odbudowa środowiska pisarskiego trwała więc całe lata. Upływ tych lat, a także polityka wydawnicza w znikomym stopniu preferująca młodych zrobiły swoje: średni wiek łódzkiego pisarza to 53 lata. Zwraca uwagę nieobecność w oddziale łódzkim ZLP młodych autorów. Niewiele jest też kobiet, bo zaledwie 6. Nieznacznemu tylko poszerzeniu uległa baza wydawnicza miasta poprzez powołanie oddziału „Ossolineum", zainteresowanego jednak przede wszystkim książką naukową. Jest także paradoksem, że tylko 8 literatów łódzkich utrzymuje się wyłącznie z pióra inni łączą najczęściej pracę twórczą z etatem w instytucjach artystycznych, wydawnictwach i redakcjach.

Mimo trudnej sytuacji literatury w Łodzi mieszkających tu pisarzy cechuje duża aktywność, co poświadcza liczba wydawanych przez nich corocznie książek. Uwzględniając wznowienia (których jest stanowczo za mało) każdy łódzki autor publikuje średnio jedną książkę w każdym roku, nie tylko w Łodzi, ale także w innych oficynach takich jak MON Wydawnictwo Literackie, LSW, Wydawnictwo Poznańskie, Pax, MAW. Plan Wydawnictwa Łódzkiego na rok bieżący przewiduje wydanie 48 tytułów literatury pięknej, w tym 43 książek pisarzy łódzkich.

Raport odnotował zjawisko stymulowania określonej dziedziny twórczości z momentem stworzenia dla niej warsztatu pracy. Tak było z przekładami. Tak jest obecnie z twórczością dla dzieci.

Niestety, literatura jest wciąż zagrożona w związku z wąskim gardłem poligrafii. Mimo katastrofalnej sytuacji książki drukarnie w ub. roku nie zadrukowały 4.000 ton papieru, co stawia pod znakiem zapytania także plany tegoroczne.

Mówiono o tym w dyskusji. Sytuację w poligrafii przedstawił operując konkretnymi przykładami dr Jacek Zaorski. Skandal polega przede wszystkim na tym, że brak jest papieru określonych gatunków, a ten, którym dysponują wydawcy wpływa często w ostatnich dniach roku. Oczywiście mowy już nie ma, aby go można było zadrukować plany wydawnicze trzeba korygować, a tylko przemysł papierniczy wychodzi na swoje. Kolejnym hamulcem jest rozproszenie bazy małej poligrafii. W tej sytuacji książce niskonakładowej trudno jest trafić do drukarni, a książki niskonakładowe to często właśnie debiuty, o które upominano się na sali.

Sytuację młodych pisarzy podniósł Andrzej Wiktor Mikołajewski, przewijała się ona także w innych głosach, choćby Włodzimierza Krzemińskiego. Niestety nikt nie podsunął jakichś nowych myśli jak ten problem rozwiązać i to nie tylko w Łodzi, ale w skali całego kraju, bo wszędzie jest podobnie. Nie rozwiąże tego problemu obniżenie poprzeczki, zmiana kryteriów przynależności do ZLP, bo były i takie głosy. Sprawy młodej literatury znajdują się na pierwszym miejscu w kolejce najpilniejszych spraw do załatwienia w naszej kulturze.

Mimo trafności wielu spostrzeżeń „Informacja o stanie książki i pisarzach Łodzi" zaciąża zbyt wąskim partykularnym wydźwiękiem. Dobrze więc, że wśród głosów w dyskusji znalazła się wypowiedź Benona Liberskiego, który zwrócił uwagę na fakt, iż mówienie o książce, to przede wszystkim zastanowienie się nad funkcją słowa i jego rola w życiu narodu. „Trzeba domagać się obecności książki w życiu każdego człowieka" — stwierdził znany malarz. Niestety, był to głos odosobniony, choć wszyscy się z nim zgodzili.

Publiczna dyskusja o stanie literatury zakończyła się fiaskiem z braku rozmówców. Jeśli nie liczyć dwóch osób spoza środowiska (byli to potencjalni autorzy, którzy przyszli dowiedzieć się, jak mogą wydać własne próby) była to rozmowa we własnym gronie o sprawach dobrze znanych wszystkim zainteresowanym.

Miejmy nadzieję, że kolejne raporty wywołają większy społeczny odezw. Sprawa jest tego na pewno warta. Trudności z nabyciem masła nie mogą tłumaczyć katastrofalnego stanu kultury współczesnej.

K. F.

WOBEC WŁASNEGO CZASU

Rada Naczelna SZSP i Młodzieżowa Agencja Wydawnicza przedłużają do dnia 30 marca 1981 r. termin nadsyłania prac na otwarty, ogólnopolski konkurs na dziennik twórcy, artysty i działacza pod hasłem „Wobec własnego czasu".

Celem konkursu jest zapis procesu kształtowania świadomości młodego pokolenia twórców, pokazanie postaw, motywacji działania i próba zapisu wydarzeń, lecz także refleksji nad własnym życiem i pracą.

Szczególnie zależy nam na przemyśleniach dotyczących ostatniego półrocza a szczególnie zmian, jakie zaszły i zachodzą w świadomości młodego pokolenia po POLSKIM SIERPNIU br.

Forma prac konkursowych jest dowolna — dziennik, pamiętnik, zapiski autobiograficzne, reportaż, esej. Na konkurs można również nadsyłać cykl wierszy czy poematy.

Proponowane materiały nie mogą być wcześniej publikowane ani zgłoszone do innego konkursu. Prace w trzech egzemplarzach, objętość do 20 stron, opatrzone godłem, zawierające dane dotyczące autora i jego adres, należy wysyłać do dnia 30 marca 1981 r. na adres: Redakcja „Nowy Medyk", ul. Oczki 7, 02-007 Warszawa, z dopiskiem „Wobec własnego czasu".

Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi w kwietniu 1981 r.

Nagrody: I — 15 tys. zł, dwie II — po 7 tys. zł, trzy III — po 5 tys. zł, dziesięć wyróżnień — po 2 tys. zł; w dziale poezji: pierwsza — 5 tys. zł, dwie II po 3 tys. zł, trzy III — 2 tys. zł, oraz nagrody rzeczowe.

Jury ma prawo do innego podziału nagród, jak również prawo wyboru nadesłanych prac (niezależnie od nagrodzonych) celem publikacji w przewidywanej edycji książkowej.

SEKRETARIAT KONKURSU
REDAKCJA „NOWY MEDYK"

Spotkanie z redakcją „Odgłosów"

W ramach „Wolnej trybuny" Stowarzyszenia Twórców Kultury w najbliższy wtorek 10.III. br. o godzinie 17 w siedzibie STK w Łodzi, al. Kościuszki 33 odbędzie się spotkanie zespołu redakcyjnego „Odgłosów" z czytelnikami tygodnika na temat wiarygodności prasy, na które zapraszamy wszystkich sympatyków naszego pisma. Sceptycy również mile widziani.

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), JERZY KATARASIŃSKI (z-ca redaktora naczelnego), EUGENIUSZ IWANICKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI, KONRAD FREJDLICH, MAŁGORZATA GOLICKA, JACEK INDELAK, RYSZARD LUCYSZYN (fotoreporter), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny).

Stale współpracują: TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, GRZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ F. GRABSKI, PAWEŁ JEDRZEJEWSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, EWA PANKIEWICZ, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI GLANC, JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI.

Korekta: MARIA GRABSKA, KRYSTYNA SARDECKA.

Ciąg dalszy ze str. 1

Foto: R. Łucyszyn

W KOLEJCE PO KLUCZE

Zbudowaliśmy po wojnie setki tysięcy mieszkań. Poprawiła się i usprawniła gospodarka zasobami mieszkaniowymi, wreszcie same mieszkania są budowane większe i o lepszych układach funkcjonalnych (mieszkania wznoszone w 1979 r. były o ponad 15 procent większe niż w roku 1970, średnio powierzchnia wzrosła z 44 do 53 metrów kwadratowych). Wreszcie nastąpił rozwój spółdzielczości, jako głównej formy zaspokajania mieszkaniowych potrzeb społeczeństwa, a w rozwiązywaniu problemu jak i zarządzaniu całą gospodarką mieszkaniową. Ale — *„satysfakcja z dotychczasowych dokonań — cytuję zeszłoroczne sejmowe wystąpienie prezesa Centralnego Związku Spółdzielni Budownictwa Mieszkaniowego, Stanisława Kukurykę — nie może jednak przesłaniać faktu, że w powszechnym odczuciu kwestia mieszkaniowa pozostaje nadal zasadniczym problemem społecznym"*. Także i w wyniku tego, że *„w odczuciu społecznym* — cytuję znowu zdanie z zeszłorocznego posiedzenia Rady Ministrów — *osiągnięte w budownictwie mieszkaniowym poważne wyniki są pomniejszone przez niedomagania i słabości występujce w rozdziale mieszkań"*.

Praktyka nieformalnego stosowania litery prawa doprowadziła do zaniku samorządności spółdzielni, co miało główny wpływ na zaistnienie kryzysu.

Bezpośrednio po wojnie mieszkania były rozdzielane przez zakłady pracy, terenowe organy administracji państwowej oraz spółdzielczośc. I ten zwyczaj się przyjął — po wielu innych próbach, jako obowiązujący i powszechny. Zakłady pracy miały zaspokajać potrzeby typu produkcyjnego, wynikające z potrzeb produkcyjnych nowo budowanych zakładów, rozwoju ich kadry i zapotrzebowania na nią z zewnątrz. Organy administracji państwowej dysponowały pulą przeznaczoną dla ludzi ściąganych dla potrzeb kadrowych w sferze pozaprodukcyjnej, dla restytucji zużytych lub wyburzanych budynków, a także dla rodzin stopniowo powiększających się, których dochód przekraczał minimum socjalne — przyjmowano je w granicach 800—1000 zł na osobę, (poniżej którego przysługiwał już przydział mieszkań kwaterunkowych).

Ten model się przyjął. Z pewną różnicą. Wyłącznym dysponentem całej oddawanej dla ludności mieszkań — w myśl uchwalonego prawa — została spółdzielczość. FORMALNIE. Budownictwo mieszkaniowe ma obecnie jednego właściciela — spółdzielczość, ale panów co najmniej trzech: spółdzielnie, zakłady pracy i terenowe organy administracji państwowej. Jeszcze do 1965 r. te trzy grupy dysponentów dokonywały przydziałów z własnych zasobów nowo budowanych lub odzyskiwanych w wyniku migracji ludności mieszkań. Od następnego roku w miarę ograniczenia budownictwa państwowego na rzecz spółdzielczego, część mieszkań spółdzielczych na podstawie umów przekazywano do dyspozycji zakładów pracy i na podstawie uchwał Rady Ministrów do dyspozycji terenowych organów administracji państwowej.

Kto rządzi? Rokrocznie, tak i w zeszłym roku — tak będzie jeszcze i w tym roku — formalnie spółdzielcze mieszkania pomiędzy tych trzech rzeczywistych dysponentów rozdziela wojewoda (przecież terenowy organ administracji państwowej), który jeszcze uwzględnia interesy Biura Handlu Zagranicznego „Locum" dla płacących twardymi walutami. Jak rozdziela? Najlepiej pokażą niżej przytoczone przykłady.

W ostatnich latach sytuacja z mieszkaniami znacznie się pogorszyła i stała się problemem numer jeden każdej rodziny, a także najważniejszym elementem polityki społecznej naszego państwa, wymagającym wprost palącego rozwiązania. Deficyt mieszkań, rosnący w oszałamiającym tempie, wynikał przede wszystkim ze wzrostu zawieranych małżeństw młodych ludzi z tak zwanego wyżu demograficznego i ich pędem do usamodzielniania się, rosnących kulturalnych i materialnych aspiracji społeczeństwa, a także z ogromnego natłoku inwestycji, który z kolei spowodował zwiększone zapotrzebowanie na kadrę, a więc i lokal. Do wzrostu zapotrzebowania na mieszkania przyczyniła się także reforma administracyjna kraju (trzyetapowa, dokonana w niespełna trzy lata) pociągająca za sobą konieczność ściągnięcia do nowych województw i gmin podstawowej kadry pracowniczej.

Jednym z istotnych hamulców dla budownictwa jest sygnalizowane od lat wyczerpywanie się terenów uzbrojonych i niedostateczne wyprzedzanie zbrojeniami samej budowy. W 1979 r. aż 63 procent budynków wznoszono na terenach równocześnie zbrojonych (w 1975 r. — 11 procent). W województwie lubelskim buduje się tak aż 80 procent mieszkań. W Łodzi np. brakuje 60 km ciągów ciepłowniczych, nie ma ujęć wody.

Budowlany rok przestał liczyć 12 miesięcy, a skala tzw. poślizgów rośnie. Jeśli praktyka ta nie zostanie ukrócona, to trzeba będzie poświęcić cały rok tej pięciolatki wyłącznie na likwidację „nawisu", jaki wytworzył się nad budowlanym planem. Liczba zaległych mieszkań z lat 78, 79 — według danych GUS — przekraczała w roku zeszłym 70 tysięcy; koniec roku 1980 liczbę tę niewątpliwie podwoił. W Łodzi wszystkie mieszkania jakie uzyskała spółdzielczość w I połowie 1980 r. zostały oddane ludziom wykwaterowanym z budynków przeznaczonych do wyburzenia. Pierwsi z listy przydziałów mogli otrzymać klucze dopiero w październiku.

Dalej: istnieją poważne dysproporcje między stworzonymi możliwościami, bazą, a uzyskanymi efektami jakościowymi w budownictwie. Przykład drastyczny: wadliwa konstrukcja fundamentów dwóch budynków łódzkiego osiedla Retkinia spowodowała ich osadzenie się, a w konsekwencji — zarysowanie się ścian i pękanie przewodów instalacyjnych.

Wróćmy teraz do wojewody. Bezwzględne pierwszeństwo przyznaje on — „wobec konieczności zapewnienia kadry dla zakładów pracy" — potrzebom produkcyjnym, zaspokajanym przez zakłady pracy i organy administracji państwowej. Mimo że teoretycznie w grupie uprzywilejowanych znalazło się wiele grup społecznych — niewiele to im dotychczas pomagało, bowiem dla spółdzielń zostawało niewiele mieszkań. Z puli formalnie znajdującej się w dyspozycji spółdzielni — na podstawie decyzji wojewody lub jeszcze wyższych władz — część mieszkań dodatkowo jeszcze przeznaczono dla Locum, dla uczestników budownictwa patronackiego, dla załóg przekraczających plany produkcyjne. W rezultacie dla „zwykłych" członków spółdzielni pozostawało niewiele. W 1976 r. na ok. 150 tys. rozdzielonych mieszkań zwykle członkowie otrzymali ok. 53 tys. tj. niespełna 36 procent. W 1978 r. nie było lepiej — na 165 tys. przydziałów mieszkań spółdzielczych dla członków z rejestracji powszechnej przypadało 40 procent. Według uchwały i zaleceń rządu i Centralnego Związku w tym roku przewiduje się ten procent podnieść do 80—85. Czas pokaże, jak w praktyce zostanie to zrealizowane. W Narodowym Planie Społeczno-Gospodarczym na rok 1980 mówiło się o 53,7-procentowej puli mieszkań przeznaczonych dla spółdzielczości. Wojewodowie skłaniali się — i są na to dowody — do uszczuplenia części należnej spółdzielniom. Wzorem zresztą lat ubiegłych. W 1979 r. procent w niektórych województwach osiągał zaledwie liczbę 20 (np. w legnickim).

W roku zeszłym w Radomskiej Spółdzielni Mieszkaniowej członków oczekujących było 4700, a tych, którzy już mają mieszkania, o 1000 mniej. W 1980 roku planowało się oddanie w całym Radomiu 2075 mieszkań. Terenowe organy administracji państwowej dysponowały 554 mieszkaniami, zakłady pracy miały otrzymać 282, resztę miała dostać spółdzielczość. TEORETYCZNIE, bo 95 miało jeszcze pójść do Biura Handlu Zagranicznego „Locum", dalsze 300 miały wykończyć i podzielić między swoich pracowników zakłady pracy. RSM z 615 „swoich" przekazać jeszcze miała 61 na listę przyśpieszeń, dla rodzin o wyjątkowo trudnych warunkach mieszkaniowych, 108 przydzielić miała członkom na warunkach własnościowych — gdzie kolejka jest o trzy lata krótsza. A z reszty można było już układać listę...

Wniosek? Jest, ale bardzo przykry. Rola spółdzielni jako źródła powszechnej dostępności mieszkania została — wbrew intencjom przepisów i odczuciu społecznej sprawiedliwości — zdecydowanie zredukowana.

Wszystkie te czynniki spowodowały powstanie absurdalnej sytuacji: członek spółdzielni od dawna spełniał wymagane warunki, lecz mieszkania nie otrzymywał. W 1970 r. takich spółdzielców było pół miliona, zaś w 1978 — 1,3 mln, by osiągnąć zenit w tym roku — 1,5 mln. Można mniemać, że w następnych latach sytuacja się jeszcze bardziej pogorszy, głównie wskutek przyczyn wymienionych wyżej i praktycznej niemożliwości szybkiego ich usunięcia.

Na wytworzenie się u części społeczeństwa poczucia braku sprawiedliwości społecznej w przypadku rozdziału mieszkań wpłynęło także funkcjonowanie systemu, który nie pozwala na realne oddzielenie funkcji zarządzania od funkcji ukierunkowania i egzekwowania prawidłowości działania organów wykonawczych spółdzielni. W spółdzielczości mieszkaniowej dyrekcja spółdzielni i zarząd składają się z tych samych osób, a więc ludzi, którzy sami siebie kontrolują. Są one m.in. zazwyczaj przedstawicielami — delegatami na walne zebranie, które ma na celu m.in. udzielanie absolutorium z tytułu ich działalności.

Zarząd spółdzielni — wbrew intencjom ustawy — dotychczas nie wypełniał właściwie swoich funkcji kolegialnych. Związane jest to z utrzymywaniem się przez kilka kadencji tych samych osób, co z kolei jest przyczyną obniżenia progu odpowiedzialności za podejmowane przez nich decyzje. Nie jest przestrzegany również art. 8 prawa lokalowego, mówiący o nieprzyznawaniu mieszkań członkom rady spółdzielni i członkom jego najbliższej rodziny. Przydział ten powinien być realizowany przez samą Radę lub organ stopnia nadrzędnego — co nie jest w ogóle praktykowane przez spółdzielnie w kraju. Rada Spółdzielni najczęściej nie wypełnia funkcji kontrolnych w stosunku do zarządu spółdzielni, kwitując generalnie jego postępowanie, a rezygnując ze szczegółowej analizy przydziału mieszkań. I tu potrzeba większej aktywności jednostek nadrzędnych w zakresie dokonywanych analiz podległych spółdzielni, bliżej: analizy odpowiedzialności osób zajmujących w spółdzielni kluczowe stanowiska. Zbyt bowiem często osoby te podejmują decyzje sprzeczne nie tylko z poczuciem sprawiedliwości społecznej, ale kolidujące rażąco z prawem, zasłaniając się przy tym szyldem spółdzielni i jej statutem.

W dziedzinie „kombinatoryki" mieszkaniowej jest jeszcze wiele spraw, które należałoby wyjaśnić. W marcu zeszłego roku NIK przeprowadził kontrolę przydziałów mieszkań i sprzedaży domów. *„W komisjach można było obejrzeć setki przykładów osób wykorzystywania luk prawnych, krętactwa, oszukiwania i to przez ludzi, zaliczających siebie do luminarzy"* — czytamy w sprawozdaniu. „Gazeta Olsztyńska" pisze: *„W Olsztynie ujawniono 168 rodzin posiadających podwójne mieszkania. Są to przeważnie osoby, które wybudowały domki jednorodzinne i jednocześnie utrzymywały dotychczasowe mieszkania: 98 kwaterunkowych, 51 spółdzielczych, 19 zakładowych. Żadna osoba z administracji nie czuwała nad tym, aby lokatorzy po wyprowadzeniu się niezwłocznie zdawali dotychczasowe lokale"*. W Warszawie skontrolowano w maju 1980 r. 212,7 tys. mieszkań. Wykryto — 2173 przypadków nieprawidłowości. Nie ulega wątpliwości, że kontrole powinny być dalej przeprowadzane, ale nie może to przysłonić faktu braku rzetelności i odpowiedzialności osób zarządzających gospodarką mieszkaniową...

Zreasumujmy: istnieje wiele spraw w tej dziedzinie, wymagających wprost palącego rozwiązania. Ale poczucia sprawiedliwości społecznej nie uzyska się corocznymi uchwałami, nie wnoszącymi nic nowego, a tylko wprowadzającymi w oczach i w głowach czekających prawny mętlik (następuje przecież także obniżenie progu świadomości prawnej).

Przytoczę kilka propozycji zmiany dawnego stanu rzeczy:

— ludzie z zakładów pracy powinni czekać w kolejce tak jak wszyscy członkowie spółdzielni mieszkaniowej,

— wstrzymać należy zamiany mieszkań,

— reaktywować trzeba budownictwo socjalne,

— przywrócić budownictwo kwaterunkowe,

— zaostrzyć potrójną kontrolę wydawnych decyzji przydziału mieszkań tak w spółdzielni, tak w kwaterunku,

— dokonać generalnej weryfikacji stanu posiadania mieszkań.

„Życie i Nowoczesność" proponuje stworzenie lobby mieszkaniowego, inicjuje — z poparciem Centralnego Związku SBM — tworzenie nowych małych spółdzielni mieszkaniowych.

Wszyscy są zgodni: tylko umocnienie roli samorządu i samodzielności spółdzielni w podejmowaniu decyzji może uzdrowić w jakimś stopniu gospodarkę mieszkaniową. Istnieje wyraźna konieczność oddzielenia się od ogólnych metod zarządzania i planowania państwem, które przeniesione na grunt spółdzielni tylko ją paraliżowały.

Spółdzielnie muszą mieć monopol na przydział spółdzielczych mieszkań. W sytuacji niemożności rychłego zapewnienia mieszkań każdej rodzinie sprzyjać to będzie m.in. uniknięciu parcelacji odpowiedzialności na podejmowane decyzje, i w efekcie odzyskiwaniu poczucia sprawiedliwości społecznej.

WACŁAW OPACKI

LISTY DO REDAKCJI

„WSZYSCY LICZĄ NA NIK"

Zdecydowałem się zabrać głos na temat form oddziaływania na opinię społeczną publicystyki, którą ostatnio uprawia Jacek Indelak na łamach poczytnych „Odgłosów". Z góry stwierdzę — w związku z wywiadem pt. „Wszyscy liczą na NIK" w N-rze 7 z dnia 15.02.1981 r. — że taka „niedopełniona" forma i treść tego wywiadu (a wcześniej także np. wywiadu z wojewodą piotrkowskim), w moim głębokim odczuciu nie spełnia oczekiwań społecznych. Skoro Redakcja stwierdza w swojej notatce na końcu wywiadu, że w ten sposób „wychodzi naprzeciw zainteresowaniom społeczeństwa", to w moim odczuciu właśnie tak się nie dzieje, bo nie o zwykłe zainteresowanie społeczeństwa tu chodzi, lecz o ścisłe informacje o przedmiocie sprawy oraz o bezsporne, prawdziwe wnioski, na jakie stać uczestników wywiadu: i pytanego i reportera. Opinię społeczną warto i trzeba traktować poważnie, przez prasę oddziaływać stale skutecznie na poziom odbioru informacji, refleksji u czytelników i ich obywatelskich uczuć. To jest potrzeba naszych czasów, a nie płaskie, powierzchowne wywiady. Czytelnik łatwo dochodzi do wniosku, co sądzić o celu tego rodzaju wywiadów, a może nawet o postawie ideowej ich autora. Nie chciałbym się źle domyślać, ale wydaje mi się, że publikowanie takiej treści wywiadów, w których ujawnia się częściowo negatywnie oceniane czyny miejscowych prominentów, w zamierzeniu autora z góry ma spełniać taką rolę jak działanie klapy bezpieczeństwa. Coś trochę napisze się na ten temat, rzuci się parę wyrywkowych informacji — i można już uznać, że rozładowało się opinię społeczną że zmniejszy się przez to jej „ciśnienie". Jak wyrwaną z kontekstu wobec treści wywiadu jest notka odredakcyjna, w której czyta się: „W publikacjach... towarzyszy nam podstawowa intencja: przeciwstawienie się zarówno wszelkim nieuczciwościom, jak również oszczerstwom i fałszywym pomówieniom". W wywiadzie jest mowa o tym, co, kto, kiedy, za co, ile, — ale przecież wg tego nie można ocenić, co jest nieuczciwością, a co oszczerstwem i pomówieniem.

To, co napisałem powyżej, wyjaśnię teraz ściślej.

W odniesieniu do samych informacji dotyczących „domku" Jerzego Lorensa, czy też Heleny i Anny Lorens:

— Podaje się, że dwie sąsiednie działki w Żabiczkach mają łącznie 3600 m kw. Czytelnik nie dowiaduje się wcale, że przeciętna działka letniskowa wynosi 400—1000 m kw., czyli że te dwie działki nie odpowiadają przepisom obowiązującym wszystkich obywateli nawet wtedy, gdy są to działki zalesione, że przekraczają one wielokrotnie te normy.

— „Domek" o powierzchni zabudowy 186 m kw. a użytkowej 110 m kw. — to w istocie duży dom: 186 m kw. w rzucie poziomym to ponad 20 proc. więcej niż powierzchnia jednej sekcji (wokół jednej klatki schodowej) w bloku mieszkalnym.

— Informacje o drewnie modrzewiowym: czy nabyto 40 m. sześc. drewna czy 50 m sześc. istotna: NIK wie chyba ściśle, ile nabyto. Warto zwrócić uwagę, że drewno to musiało być pozyskane ze starodrzewu. Gdyby były to pnie o średnicy 20 cm i długości użytkowej 8 m, to z prostego rachunku wynika, że netto byłoby to około 200 drzew o wieku kilkudziesięciu lat, oraz że drzewa te rosłyby w przeciętnym zagęszczeniu na takiej powierzchni jak działka pp. Lorensów. Drewno specjalnie przewożono z odległości ok. 200 km samochodami. Wręcz niesamowicie brzmi stwierdzenie dyrektora NIK, że w tym okresie składnice dysponowały dużymi ilościami tarcicy". W gospodarce narodowej przez cały okres powojenny nigdy nie było tak żeby nie obowiązywały bardzo surowe przepisy o oszczędności drewna w budownictwie. Dla przeciętnego amatora domku letniskowego problem stanowi nabycie 1—2 m sześc. desek króciaków z sinizną. Drewno z konieczności wciąż jeszcze jest dla Polski cennym materiałem eksportowym. Nabycie kilkudziesięciu m sześc. drewna modrzewiowego z Puszczy Świętokrzyskiej dla tego rodzaju celu stanowi czyn wyjątkowo nieobywatelski tak ze strony nabywcy, jak i tych wszystkich, którzy mu to umożliwili.

— Budowa drogi, wodociągów, telefonu — na zasadach, jakie podane są w wywiadzie, świadczy o tym, w jakim wielkim stopniu robiono to z omijaniem podstawowych celów społecznych, do jakich powołane są instytucje wykonujące te roboty — i z omijaniem realizacji zadań, jakie jako wynikające z tych celów winny być wyłącznie wykonywane.

Warto sobie wyobrazić ile wysiłku osobistego i czasu musiał zużyć Jerzy Lorens (bo przecież nie H i A. Lorens), żeby wszystkie te sprawy załatwiać, ile czasu zabrał tym, którzy mu „szli na rękę" bezpośrednio, a ci — przecież decydenci, dyrektorzy ile czasu zabrali licznym szeregom innych pracowników, wliczając w to na końcu bezpośrednich wykonawców robót, i jaką na nich wywarli presję: ile w tym było demoralizacji, której skutki (również i z takich działań) odczuwamy teraz i odczuwać będą całe pokolenia.

Warto sobie wyobrazić, ile cennego przydenckiego czasu zabrały przez kilka lat te wszystkie zabiegi związane z budową „domku" i z jaką to było ogólną szkodą dla funkcjonowania Urzędu Miasta, dla spraw i życia mieszkańców Łodzi i województwa, dla funkcjonowania organizmu miasta i województwa.

Warto sobie wyobrazić, ile złego przykładu stworzyły te „zabiegi" dla pracowników Urzędu Miasta, dla pracowników innych agend i instytucji, którzy w Żabiczkach lub gdzie indziej naśladowali swego szefa, osobę, od której tyle zależało.

Podobne rozważania można było zapewne snuć również wobec innych osób wymienionych w wywiadzie, lecz szczupły zakres podanych informacji tego nie dozwala.

Moje rozważania dotyczą wyłącznie strony moralnej zagadnienia. Nie można jej pomijać, Panie Redaktorze, jeżeli chcemy wszyscy, Dziennikarze i Czytelnicy, wzajemnie się szanować.

Poruszyłem te sprawę specjalnie. Wydaje mi się, że to, o czym pisze, nie będzie obojętne tym, którzy jeszcze teraz mają kontakt z Jerzym Lorensem. Wydaje mi się, że stanowisko szeroko rozumianej opinii społecznej gdyby ją o to zapytać, byłoby takie:

— Niech J., H. i A. Lorensowie zapłacą to, co im, zostanie przez kontrole NIK i inne nakazane do uregulowania i niech ta łączna kwota podana zostanie oficjalnie do publicznej wiadomości.

— Niech J. H. i A. Lorensowie spokojnie korzystają sobie potem z „domku" modrzewiowego.

— Niech opinia społeczna, organizacje polityczne, społeczne i inne zerwą na stałe wszelkie więzy formalne, jakie ich jeszcze nadal łączą z J., H. i A. Lorensami.

Załączam życzenia twórczego rozwoju „Odgłosów"
JERZY URBAŃSKI
ul. Żeligowskiego 26 m. 27

Dalszy ciąg ze str. 1

końca 1945 r. i później silnie rozwijane, organizacje kościelno-wyznaniowe i opiekuńcze. Utworzenie LWW nastąpiło 6 maja 1949 r. w Hanowerze, natomiast 4 marca 1951 r. zarząd LWW podjął uchwałę o nadaniu związkowi charakteru ogólnokrajowego w RFN.

Nazwa LWW nie precyzuje w sensie geograficznym obszaru, z którego pochodzą członkowie. Jest to niejasność celowa, w związku z nierozstrzygniętą sprawą stosunku do Niemców z przedwojennego woj. pomorskiego. Nie sprecyzowane dostatecznie pozostawały też w pierwszych latach działalności zadania LWW, które określano jako zachowanie kultury rodzimej, utrzymywanie kontaktów między członkami i z dawną ojczyzną oraz zgłaszanie *„prawa do ojczyzny" (Heimatrecht)*, naruszonego wysiedleniem. *Ziomkostwo Wisły—Warty* w większym stopniu niż inne ziomkostwa opiera się na kadrze niemieckich działaczy mniejszościowych z okresu międzywojennego. Są to ludzie dobrze zorientowani w mentalności społeczeństwa polskiego i stosunkach Polski przedwrześniowej.

Wzrastające tendencje rewizjonistyczne w kierowniczych kołach LWW zaczęły wykraczać nie tylko poza granice Niemiec z 1937 r., lecz także poza granice z 1914 r. Zaczęto wysuwać roszczenia terytorialne w stosunku do łódzkiego okręgu przemysłowego. Wystąpił z nimi na łamach tygodnika *Welt am Sonntag* w lutym 1964 r., jeden z czołowych działaczy ziomkostwa, T. Bierschenek, oświadczając, że *przy żądaniach RFN w stosunku do Gdańska, Szczecina i Wrocławia nie należy zapominać o niemieckiej Łodzi.*

Organizacje ziomkowskie przystąpiły od 1951 r. do organizowania akcji tzw. patronatów, polegającej na obejmowaniu przez zachodnioniemieckie miasta i powiaty patronatów nad miastami, a nawet gminami wiejskimi położonymi na naszych ziemiach zachodnich i północnych. Wkrótce akcję tę rozszerzono na tereny, które kiedykolwiek wchodziły w ramy granic państwa niemieckiego. Sens patronatów polega głównie na tym, aby społeczeństwo zachodnioniemieckie czuło się niejako odpowiedzialne za *„odzyskanie"* tzw. niemieckiego wschodu. Instytucja patronatu służy pielęgnowaniu tradycji rodzimych, stanowi forum do organizowania zlotów, zjazdów, wystaw itp.

W 1963 r. nadreńskie miasto Mönchengladbach objęło patronat nad *„wypędzonymi"* Niemcami z łódzkiego okręgu przemysłowego (*die Patenschaftsausschuss über die heimatvertriebenen Deutschen aus dem Lodzer Industriegebiet*). Oddany w 1963 r. do użytku nowy budynek biblioteki i archiwum miejskiego pomieścił także *Archiwum Ojczyźniane Niemców z Polski środkowej i Wołynia (Das Heimatarchiv der Deutschen aus Mittelpolen und Wolhynien)*. *Archiwum Ojczyźniane* przeniesione z Hamburga i Dortmundu, służy celom propagandy o rzekomej niemieckości Łodzi i innych miast okręgu.

Wynikiem współpracy działaczy LWW z *Komisją Patronacką*, przy aprobacie ze strony władz miejskich Mönchengladbach, jest rozwinięcie przez komisję własnej działalności wydawniczej. Publikacje ukazują się w ramach serii zatytułowanej: *Piśmiennictwo Komisji Patronackiej Niemców z łódzkiego okręgu przemysłowego (Schriftenreihe des Patenschaftsausschusses der Deutschen aus dem Lodzer Industriegebiet)*. Główny ciężar prac wydawniczych ponosi *Otto Heike*, redaktor serii i autor większości artykułów historycznych. Jego życiorys stanowi doskonały przykład ilustrujący jednocześnie dziedzictwo i powiązania ruchu ziomkowskiego oraz źródła stosunkowo dobrej znajomości polskiej problematyki historycznej wśród publicystów i działaczy organizacji przesiedleńczych.

Otto Heike ur. w 1902 r. w Łodzi, z zawodu zecer, później dziennikarz i badacz regionalny, długoletni działacz Niemieckiej Socjalistycznej Partii Pracy (*Deutsche Sozialistische Arbeitspartei*). W latach 1928—1936 redaktor jej organu *Lodzer Volkszeitung*. W 1937 r. przeszedł do hitlerowskiego Niemieckiego Związku Ludowego (*Deutscher Volksverband*) wiążąc się z jego gazetą *Freie Presse*. Po wkroczeniu Wehrmachtu do Polski został mianowany sekretarzem gminy Chojny. Tamże, w latach 1940—1941, pełnił funkcję referenta NSDAP a ponadto kierował łódzkim Archiwum Miejskim. Dostęp do archiwaliów pozwolił mu sporządzać listy proskrypcyjne dla gestapo, prowadzić akcję zniemczania nazwisk i nazw ulic. Prohitlerowskim i polakożerczym opiniom dał *O. Heike* wyraz w artykułach publikowanych w okupacyjnej *Litzmannstädter Zeitung*. Po upadku III Rzeszy *O Heike* wrócił do szeregów niemieckiej socjaldemokracji, przedstawiając się jako antyfaszysta. Początkowo działał w Hannowerze i wykazał wiele inicjatywy przy tworzeniu związku krajowego *Ziomkostwa Wisła—Warta* w Dolnej Saksonii. Zapewniło mu to przejściowo stanowisko wiceprezesa zarządu, a później członka honorowego. *O. Heike* wywarł znaczny wpływ na kształtowanie się programu politycznego LWW. Po przeniesieniu się do Bonn, a następnie Düsseldorfu, awansował kolejno na starszego radcę rządowego (*Oberregierungsrat*) oraz dyrektora w ministerstwie pracy i spraw socjalnych rządu krajowego Nadrenii-Westfalii. Wiele uwagi poświęcił *O. Heike* zorganizowaniu patronatu Mönchengladbach nad Niemcami z okręgu łódzkiego oraz utworzeniu w tym mieście *Archiwum Ojczyźnianego*, w którym zgromadzono ponad 7 tys. dokumentów i eksponatów (stan z 1975 r.), mającym obrazować niemieckość Łodzi i okolicznych miast. Jednocześnie, od 1953 r. *O. Heike* prowadzi ożywioną działalność wydawniczą, koncentrując się na zagadnieniach przeszłości okręgu łódzkiego. Seria wydawnictw *Komisji Patronackiej*, rozpoczęta w 1965 r. obejmuje jak dotąd pięć tytułów. Zamiar wydawcy: publikowanie jednego tytułu rocznie, realizowany był tylko do 1968 r., po czym nastąpiła dłuższa przerwa. Zeszyt piąty ukazał się dopiero w 1975 r. Interesować nas będą szczególnie trzy zeszyty wydawnictwa oznaczone numerami 1, 3, 5, jako że poświęcone są trzem miastom okręgu łódzkiego, które swój rozwój zawdzięczają przemysłowi włókienniczemu.

Otwierający serię zeszyt pierwszy, nosi tytuł: *Pabianice. Życie, osiągnięcia i los niemieckich imigrantów w mieście włókienniczym Polski środkowej (Pabianice. Leben, Leistung und Schicksal deutscher Einwanderer in einer Textilstadt Mittelpolens*, Mönchengladbach 1965). Znajdujemy tu komentarz określający cele wydawnictwa. Ma być ono *świadectwem półtorawiekowej spokojnej pracy Niemców nad podniesieniem sił gospodarczych Polski* oraz świadczyć o *pokojowym współistnieniu Niemców i Polaków, brutalnie przerwanym przez wypędzenie tych pierwszych.* W tym samym tonie utrzymana jest nota *Wilhelma Wachtendonka*, nadburmistrza Mönchengladbach, w której mówi się o znacznej roli, jaką wydawnictwo powinno odegrać na polu *pielęgnowania kulturalnych tradycji ojczyzny wypędzonych i dokumentacji gospodarczych osiągnięć ich ojców.* Ponad połowę objętości pierwszego zeszytu zajmuje historia Pabianic w dobie uprzemysłowienia. Po nakreśleniu ogólnej sytuacji gospodarczej Polski w pierwszych dziesięcioleciach XIX w., daje *O. Heike* apoteozę niemieckich prządków i tkaczy, dzięki którym mógł rozwinąć się na ziemiach Polski środkowej przemysł włókienniczy, i którym Pabianice zawdzięczać mają, że nie zginęły w mrokach historii. W pełni nowoczesny rozwój miasta, twierdzi *O. Heike*, mógł nastąpił dopiero po przybyciu doń *Gottlieba Kruschego* i jego synów. Zasobni w gotówkę przyniesioną z Niemiec, założyli dużą tkalnię, co pozwoliło im już w 1835 r. zyskać miano największych fabrykantów w Pabianicach. Dzieło ojca kontynuował *Beniamin Krusche*, któremu w pełni przysługiwać ma tytuł *ojca Pabianic.*

Ideą pionierstwa przemysłowego imigrantów przeniknięte są wszystkie bez wyjątku prace niemieckie traktujące o powstaniu przemysłu na ziemiach polskich. Innym, koniecznym elementem ich treści jest przedstawienie stosunków wyznaniowych oraz zagadnienie rozwoju szkolnictwa. Na każdym kroku podkreślana jest inicjatywa imigrantów w budowie kościołów i budynków szkolnych. Świadczyć to miało o wyższym poziomie kulturalnym przybyszy, którzy bez tych instytucji nie mogli się obyć.

Powyższe uwagi w pełni odnieść można do kolejnego zeszytu, zatytułowanego: *Ozorków. Pierwsze miasto włókiennicze w Polsce. Twórcza praca niemieckich imigrantów — sukienników i tkaczy. (Ozorków. Erste Textilstadt in Polen. Das Aufbauwerk eingewanderten deutscher Tuchmacher und Weber*, Mönchengladbach 1967). Uwaga autora koncentruje się tu na postaci przybyłego w 1817 r. do Ozorkowa *Fryderyka Schlössera*, jednego z pierwszych i większych fabrykantów w okręgu łódzkim. *O. Heike* przecenia jednak ten fakt, zajmując skrajne stanowisko w twierdzeniu, że dopiero od tego momentu można mówić o istnieniu przedsiębiorstw włókienniczych w Polsce. Wydaje się, że wcześniejsze, XVIII-wieczne rodzime manufaktury włókiennicze o wiele bardziej zasługują na miano inwestycji prekursorskich. Wzorem historyków niemieckich okresu międzywojennego, niezwykle wysoko ocenia *O. Heike* znaczenie tzw. umowy zgierskiej z 1821 r. Miała ona dać podstawy nie tylko osadnictwu przemysłowemu na terenie przyszłego okręgu, ale również całemu przemysłowi włókienniczemu. *O. Heike* nazywa ją *Wielką Kartą* okręgu łódzkiego, która stworzyła możliwość dalszej, masowej już imigracji włókienników i stać się miała wzorem późniejszych umów. Wynika z tego, że do dziś historycy niemieccy nie dostrzegają znaczenia wcześniej zawartej umowy ozorkowskiej z 1807 r. Właśnie w monografii Ozorkowa było najlepsze miejsce na jej wyeksponowanie. Umowę tę podpisali sukiennicy z Dąbia i Grabowa z właścicielem dóbr Strzebiew i Ozorków — *I. Starzyńskim.* Tę właśnie umowę, pierwszą tego typu na terenie przyszłego okręgu, historiografia polska określa jako wzorcową dla wszystkich późniejszych tego rodzaju aktów prawnych.

O znaczeniu umowy zgierskiej przypomina *O. Heike* powtórnie w kolejnej publikacji z serii *Schriftenreihe...*, zatytułowanej: *Zgierz. Punkt wyjścia przemysłu włókienniczego w miastach rządowych Polski. Twórcza praca niemieckich sukienników w Zgierzu. (Zgierz — Ausgangspunkt der Textilindustrie in den Regierungsstädten Polens. Die Aufbauleistung deutscher Tuchmacher in Zgierz*, Mönchengladbach 1975). Na szczególną uwagę zasługuje jednak przedstawiony przez *O. Heikego* wykaz pożyczek, jakie udzielone zostały przez Bank Polski fabrykantom zgierskim do 1834 r. Wykaz ten zawiera 60 nazwisk z wyszczególnieniem wysokości pożyczki i wysokości zaległych spłat. Rozpiętość należności waha się w granicach od 23 zł do 59.890 zł. Najpoważniejsze pozycje, to: *Johann Zachert* — 59.890 zł i *Johann Friedrich Zachert* — 46.528 zł. Łączne ich zadłużenie stanowiło 2/3 sumy należnej Bankowi Polskiemu od fabrykantów zgierskich. Interesujący jest komentarz *O. Heikego* do powyższego wykazu. Świadczyć ma on, iż zadłużenie fabrykantów wcale nie było wysokie, 2/3 sumy otrzymali posiadacze największego zgierskiego przedsiębiorstwa, natomiast Bank Polski doliczać miał wcale niemały procent do swych pożyczek. Należy zwrócić uwagę na względność określeń typu „pożyczka duża", „pożyczka mała". Przecież ogólna suma należna bankowi wynosiła prawie 1/7 rocznego budżetu pożyczkowego, a mamy do czynienia tylko z jednym miastem. Wykaz potwierdza opinię, że władze nie wahały się inwestować w przedsiębiorstwa duże, energicznie prowadzone, rokujące nadzieję, że nakłady zostaną zwrócone. Natomiast małe sumy pożyczek dowodzić mogą, że przeznaczano je na cele doraźne nie związane z rozwojem przedsiębiorstw włókienniczych. Zważywszy trudności finansowe Królestwa Polskiego, wszelka pomoc udzielana imigrantom zasługuje na specjalne uznanie. Stanowiła ona jeden z czynników przejmowania nakładów na przemysł przez społeczeństwo polskie. Ryzyko tych posunięć, jak świadczą wzmianki w źródłach, było duże. Bardzo często po zaciągnięciu pożyczki znikał ślad po dłużniku, duże sumy ulegały defraudacji lub obracane były na cele niezgodne z ich przeznaczeniem.

Nie znajduje też potwierdzenia inna teza lansowana od dawna przez historyków niemieckich, o *obcości* kapitału w przemyśle okręgu łódzkiego. Jak wykazano, *obcość* czy *rodzimość* kapitału nie zależy od narodowości jego dysponenta, a związana jest z miejscem akumulacji i dalszego obrotu. Do ostatniej ćwierci XIX w. brak było na terenie okręgu łódzkiego kapitałów obcych. Przedsiębiorcy dokonywali akumulacji swego kapitału na ziemiach polskich i tutaj też pozostawały ich zyski. O kapitale *obcym* można mówić jedynie wtedy, gdy jego ośrodek dyspozycyjny znajduje się za granicą i tam też wędrują zyski.

Warto zatrzymać się jeszcze przy jednym zagadnieniu, ważnym pod względem metodologicznym. Mam tu na myśli bazę źródłową publikacji *Komisji Patronackiej*. W wykazach literatury, załączonych do każdego zeszytu, znaleźć można pozycje różnego typu. Od niemieckich nacjonalistycznych prac z okresu międzywojennego poprzez powstałe na ich bazie opracowania powojenne, do nielicznych publikacji polskich, z których ustalenia wybierane są tendencyjnie i jednostronnie. Sądzić można, że praktyce tej przyświeca myśl jednostronnego naświetlenia faktów, zgodnie z wcześniej przyjętą koncepcją. Zachowane są też pozory podbudowy źródłowej tych publikacji, choć tylko w jednym przypadku podjęto próbę interpretacji źródła (wykaz pożyczek fabrykantów zgierskich).

Nasuwa się pytanie, kim są odbiorcy tego typu literatury. Autorów znamy — są nimi Niemcy mieszkający w okresie międzywojennym na terenie Polski i wtedy rozpoczynający swą działalność. Kontynuują ją i dziś w zmienionych warunkach politycznych. Nazwisko *Otto Heikego* nie jest tu odosobnione. Podobnie prezentują się sylwetki *Alfreda Kargela* czy *Eugena Oskara Kossmanna*. Swoistym curiosum jest książka tego ostatniego, pt. *Ein Lodzer Heimatbuch* (*Łódzka księga ojczyźniana*), wydana w 1967 r. w Hannowerze. Jej treść stanowią przedruki artykułów publikowanych przez *E. O. Kossmanna* w latach 1926—1937 na łamach *Lodzer Zeitung* i *Lodzer Freie Presse*. Autorzy ci, mając duży zasób wiedzy faktograficznej, piszą na konkretne zamówienie społeczne. Pochodzi ono przede wszystkim z ośrodków rewizjonistycznych: różnego rodzaju organizacji przesiedleńczych, *związków wypędzonych, komitetów pomocy* i ziomkostw. Powstające szybko prace spełniają oczekiwania czytelników. Ukazują w najlepszym świetle wyniki *misji dziejowej* narodu niemieckiego na wschodzie, gloryfikują umiejętności i talenty wybitnych jego przedstawicieli, są swego rodzaju wspomnieniem *złotego wieku*. Dużą rolę odgrywa też sentyment do przeszłości. Generalnie rzecz biorąc, literatura prezentowana przez wydawnictwo *Komisji Patronackiej* Niemców z łódzkiego okręgu przemysłowego zachowała charakter nacjonalistyczny. Nie jest to już nacjonalizm wojujący, agresywny, ale wydźwięk ideowy tych prac jest jednoznaczny. W tym kryje się niebezpieczeństwo ich oddziaływania. Wzorowe pod względem edytorskim, atrakcyjnie i w dużym nakładzie wydawane, niezbyt obszerne, łatwo mogą znajdować nabywców. Ich treść niewiele ma wspólnego z historycznym obiektywizmem, wpływa natomiast na rozpowszechnianie mitu o roli Niemców w przemyśle włókienniczym okręgu łódzkiego. W pracach tych uderza brak krytyki starych, błędnych ustaleń historiografii niemieckiej. Nadal nie uznaje się wyników badań historyków polskich nad liczebnością imigrantów i ich pochodzeniem, odrzuca się analizę ekonomiczną tego zjawiska, lekceważy się fakt niewysokiej fachowości ogółu przybyszów, pomija się lub znacznie pomniejsza kreacyjną rolę władz Królestwa Polskiego w uprzemysłowieniu kraju.

Niebezpieczeństwo, które dostrzegamy w tego rodzaju „twórczości" historyków zachodnioniemieckich wynika przede wszystkim stąd, że jest ona adresowana również do miarodajnej opinii poza granicą Niemiec, głównie do opinii anglosaskiej. Trzy okoliczności złożyły się na to, że właśnie Niemcy są głównym informatorem wiedzy o Polsce w świecie zachodnim i głównym kolporterem twierdzeń propagandowych: 1) Niemcy o Polsce najwięcej wiedzą, służy temu uprawiana od lat *„Ostforschung"* skupiająca sztaby wysoko kwalifikowanych fachowców dysponujących solidnym zapleczem materialnym, 2) nasze własne poczynania na polu informacji o sobie niezbyt wiele jeszcze znaczą, 3) nadal brak nam merytorycznej przeciwwagi dla argumentów strony zachodnioniemieckiej.

Niemcy zdobyli niejako monopol w dziedzinie studiów polonistycznych i poświęconych Europie wschodniej. Starają się go utrzymać, przystosowując środki oddziaływania do zainteresowań odbiorców i przedstawiając swoją interpretację według skuteczności argumentów.

KRZYSZTOF WOŹNIAK

HISTORIA ŁODZI W MÖNCHENGLADBACH

TYDZIEŃ W POLITYCE

Można było oczekiwać, że XXVI Zjazd KPZR prócz zaktualizowania oceny sytuacji międzynarodowej przyniesie nowe propozycje. I to nie tylko dlatego, że stało się to już tradycją, żeby przypomnieć dwa poprzednie zjazdy, które zrodziły program pokoju. Również dlatego, że sytuacja międzynarodowa jest nadal powikłana, a w największym i liczącym się w polityce mocarstwie świata kapitalistycznego — Stanach Zjednoczonych objęła ster rządów nowa administracja. Tymczasem odprężenie w stosunkach między państwami — wypada to powtórzyć raz jeszcze — w dużym stopniu zależy od tego, co dzieje się na linii Moskwa—Waszyngton: czy jest gotowość do konstruktywnego dialogu i jakie są w nim postępy. Spodziewano się więc radzieckiej inicjatywy i tak rzeczywiście się stało.

W referacie sprawozdawczym Komitetu Centralnego, który wygłoszony został przez Leonida Breżniewa, problematyka zagraniczna wypełniła wiele miejsca. Dokonano w nim rzetelnej analizy obecnej sytuacji, wykazano pozytywy i negatywy ostatnich lat. Na tym szerokim tle **Związek Radziecki zgłosił kilka propozycji, których podjęcie i urzeczywistnienie mogłoby korzystnie odwrócić bieg wydarzeń,** umocnić i rozszerzyć tendencje odprężeniowe, powiększyć bezpieczeństwo narodów i zagwarantować uczciwą współpracę między różnymi państwami

Jakie są te propozycje?

Wymieńmy kolejno:

— Rozszerzyć strefę stosowania środków budowy zaufania w dziedzinie militarnej również na europejską część ZSRR równocześnie z odpowiednim rozszerzeniem strefy przez państwa zachodnie;

— Przystąpić do rokowań z udziałem wszystkich zainteresowanych krajów w sprawie budowy środków zaufania na Dalekim Wschodzie;

— Omówić kwestie związane z Afganistanem w powiązaniu z problemem bezpieczeństwa Zatoki Perskiej;

— Kontynuować bez zwłoki odpowiednie rokowania radziecko-amerykańskie na temat ograniczenia zbrojeń strategicznych, przy utrzymaniu wszystkich tych pozytywnych elementów, jakie zostały osiągnięte do tej pory. W późniejszym okresie do rokowań tych powinny się włączyć także inne państwa nuklearne;

— Prowadzić rokowania w sprawie ograniczenia wszystkich rodzajów zbrojeń. Ograniczeniu powinien podlegać rozwój nowych okrętów podwodnych w USA i ZSRR, a modernizacja rakiet balistycznych, już znajdujących się na tych okrętach oraz tworzenie nowych takich rakiet powinno być zakazane;

— Porozumieć się już teraz co do zamrożenia pod względem ilościowym i jakościowym rakietowo-jądrowych środków średniego zasięgu w Europie i w wysuniętych bazach USA w tym rejonie. Porozumienie odnosiłoby się do krajów NATO i ZSRR;

— Powołać międzynarodowy komitet, który udowodniłby żywotną konieczność zapobieżenia katastrofie jądrowej;

— Zwołać specjalne posiedzenie Rady Bezpieczeństwa z udziałem czołowych przywódców państw członkowskich Rady i ewentualnie przywódców innych zainteresowanych państw po to, aby poszukać możliwości uzdrowienia sytuacji międzynarodowej;

— Prowadzić aktywny dialog ZSRR—USA. Doświadczenie wykazuje, że decydującym ogniwem w tym przypadku są spotkania na najwyższym szczeblu. „Było to słuszne wczoraj i pozostaje słuszne dziś". Do dialogu takiego ZSRR jest gotów.

Z wyliczenia nowych radzieckich propozycji wynika jasno, że **koncentrują się one na problemie odprężenia militarnego,** bo też ze strony trwających zbrojeń wynika największe niebezpieczeństwo dla świata. Postęp w dziedzinie rozbrojenia otwierałby, co więcej, możliwości i w innych dziedzinach i zdecydowanie zmieniłby klimat międzynarodowy.

Zgłoszone z trybuny Zjazdu KPZR inicjatywy przyjęte zostały powszechnie z najwyższym zainteresowaniem. **Uznano je za gest pod adresem administracji Reagana, pokojową ofertę i zaproszenie do konferencji przywódców dwóch największych mocarstw.** Stosunki radziecko-amerykańskie w ostatnim czasie nie tylko nie rozwijały się, ale nawet uległy pewnemu cofnięciu. Przyczyn tego szukać należy po stronie amerykańskiej, ponieważ wiedeńskie spotkanie przywódców w 1979 roku nie przyniosło spodziewanych rezultatów w praktyce — przyjęte tam ustalenia nie zostały zrealizowane przez Waszyngton. Najlepszą tego ilustracja jest układ SALT II, którego dotąd nie ratyfikowano.

Prezydent Reagan na radziecką propozycję zareagował pozytywnie, oświadczając, że jest zainteresowany spotkaniem na szczycie z radzieckim przywódcą. Niczego to jeszcze nie przesądza, ale daje przecież podstawę do optymistycznych oczekiwań.

Tak to **raz jeszcze Związek Radziecki przejął inicjatywę w sprawach dla świata najistotniejszych.**

W. SŁAWSKI

bunt półproduktów 3

Ciąg dalszy ze str. 1

stron. Przede wszystkim — lekcją demokracji — powiedział mi rektor UŁ prof. dr hab. Romuald Skowroński. — *Młodzież chyba po raz pierwszy dowiedziała się o bardzo złożonym mechanizmie funkcjonowania szkoły wyższej. Komisja Międzyresortowa, władze uczelni, nauczyciele przekonali się, że mają do czynienia z dorosłą młodzieżą. Była to bardzo bolesna lekcja dla starszych, wynikająca z konfliktu pokoleń i — co jest w moim przekonaniu bardzo ważne — z katastrofy systemu wychowawczego w Polsce zarówno w szkolnictwie średnim, jak i w uczelniach...*

Strajk studentów uświadomił tę sytuację również szerokim kręgom społecznym. Zwrócił ich uwagę na problemy środowisk akademickich. Władze będą musiały wyciągnąć z tego wnioski i przyśpieszyć procesy odnowy, które — acz jeszcze w ubiegłym roku zarysowane zostały (m. in. przez ministerstwo) we właściwym kierunku — nie postępowały „na dole" z takim zdecydowaniem i w takim tempie, jak tego powszechnie oczekiwano. To przyśpieszenie obejmie przede wszystkim sprawy ujęte w porozumieniu podpisanym w Łodzi 18 lutego br., którego najważniejsze punkty przedstawiłem poprzednio.

Ale nie tylko w nim. Walka o to samo — o autonomię, demokratyzację, naprawę struktur uczelni — toczyła się jednocześnie na paru innych polach. Strajki w pozostałych łódzkich uczelniach nie były wyłącznie solidarnościowym gestem. I tam prowadzono rozmowy, w których stronami byli studenci, władze uczelni, resortów oraz miasta. Warto podkreślić zwłaszcza obecność tych ostatnich, jest ona dowodem, że łódzkie władze nie ograniczyły się w tym gorącym czasie do wyrażenia swego zaniepokojenia dołączeniem do postulatów studenckich „haseł o charakterze politycznym, godzących w interesy socjalistycznego państwa". (Uchwała Plenum KŁ PZPR z 30.01.81, czy „stratami z powodu przedłużającej się przerwy w zajęciach" (Apel ŁK FJN z 3.02.).

O porozumieniach wynegocjowanych na Akademii Medycznej i w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej mówi się i pisze mało. Podobnie jak o „wewnętrznym" porozumieniu studentów UŁ z władzami, podpisanym w nocy z 10 na 11 stycznia. Pisałem o nim szerzej w pierwszej części „Buntu półproduktów". Część z zawartych w nim postulatów — rozwinięta i zmodyfikowana — przeszła do listy, będącej przedmiotem trzytygodniowych negocjacji z Komisją Międzyresortową. Wiele spraw jednak — jak mówi J. M. Rektor UŁ — jest już załatwionych, bądź w trakcie załatwiania. Z powodu przedłużających się strajków nie doszło wprawdzie do planowanych wspólnych wystąpień studentów i kierownictwa uczelni — m. in. do władz miasta — w punktach dotyczących poprawy warunków lokalowych UŁ, generalnego rozwiązania problemu gastronomii studenckiej i zwiększenia liczby specjalistów w akademickiej służbie zdrowia. Podobnie na czas spokojniejszy przełożono spotkanie z władzami województwa miejskiego łódzkiego na Politechnice.

Ale na innych uczelniach wykorzystano okres „Solidarnego Czekania" i strajku. 12 stycznia podpisano porozumienie w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych między Studenckim Komitetem Jedności a delegacją Ministerstwa Kultury i Sztuki, w sprawie realizacji postulatów złożonych min. Tejchmie: zarówno dotyczących spraw środowiska akademickiego, jak i ogólnospołecznych.

Dzięki rozmowom i podpisaniu porozumień na AM młodzież tej uczelni strajkowała dalej wyłącznie już na znak solidarności z UŁ. Porozumienie pierwsze — podpisane 30 stycznia, o charakterze lokalnym — dotyczy poprawy trudnej sytuacji lokalowej tej uczelni, która od lat oczekuje na uruchomienie centrum kliniczno-dydaktycznego i zakończenie remontów klinik. Sytuacja ta ma duży wpływ na poziom studiów i opieki nad pacjentami.

Jeżeli władze, reprezentowane podczas tych rozmów przez prezydenta *Józefa Niewiadomskiego*, wiceprezydenta *Zbigniewa Polita* i dyrektora Wydz. Zdrowia i Opieki Społ. *Jana Matczaka* zdołają wywiązać się ze zobowiązań, studenci będą mogli mówić o dużym sukcesie. Szereg postanowień trzeba uznać za przejaw daleko idącego zrozumienia władz dla trudności uczelni i potrzeb mieszkańców Łodzi.

Na przykład obietnicę, że udostępnione będą dla celów dydaktycznych AM obiekty lecznictwa otwartego i zamkniętego na terenie WMŁ, na początek — oddziałów Szpitala im. Kopernika i Szpitala w Pabianicach. Ustalono ostatecznie terminy — wszystkie mówią o bieżącym roku! — oddania po remoncie kolejnych obiektów Szpitala im. Sterlinga (wróci tu Klinika Kardiologiczna). Tym samym przywrócona zostanie miastu zablokowana od lat pula miejsc szpitalnych. W terminie mają być również usunięte poważne usterki budowlane w Szpitalu im. Madurowicza: jeden z jego budynków przekazany będzie Instytutowi Ginekologii i Położnictwa AM.

Władze WMŁ zobowiązały się także do pomocy w remontach innych obiektów (Wydz. Farmacji i akademików) w zorganizowaniu unikalnej apteki ćwiczebnej na wysokim poziomie. Aż cztery punkty (na 11) dotyczą spraw mieszkaniowych, co świadczy o randze problemu. I tu stosunek władz jest pozytywny. Na przykład wobec postulatu przyśpieszenia budowy zaległych mieszkań dla AM, czy przydzielania lokali najlepszym absolwentom tej uczelni. Do tej pory właśnie ze względu na brak perspektyw szybkiego otrzymania mieszkania, wielu świetnie rokujących młodych lekarzy musiało szukać pracy w innych rejonach.

Ale wiele postulatów mogło być omówione dopiero przy udziale przedstawicieli Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej. 3 lutego — po wielogodzinnych rozmowach (obserwatorzy zwracają uwagę na konstruktywny sposób ich prowadzenia przez ówczesnego kierownika MZiOS, a dziś ministra — Tadeusza Szelachowskiego) — sformułowano dwa „zapisy ustaleń".

W pierwszym znalazły się odpowiedzi ministerstwa na pozostałe postulaty inwestycyjne, a także mieszkaniowe i zaopatrzeniowe. M. in. uzgodniono, że część klinicznej budowanego Centrum Kliniczno-Dydaktycznego oddana zostanie do użytku nie później niż w 1986 r., zaś w 1984 rozpocznie się wznoszenie części dydaktycznej. Jeszcze w br. nastąpi jednak zatwierdzenie programu dalszej rozbudowy Centrum — po 1990 r.

Ustalono również, że nowy dom akademicki AM oddany zostanie w październiku 1984 r., zaś w br. rozpocznie się remont gmachu Farmacji (władze miasta zapewnią tu wykonawstwo). Priorytetami zaopatrzeniowymi objęto ośrodki Onkologiczny i Kardiologiczny, tudzież Wyuzialy Farmacji i Stomatologii. Wiceprezydent Z. Polit zobowiązał się poza tym, że władze miasta będą kontynuować podjęte rozmowy z łódzkimi zakładami pracy mającymi środki dewizowe, dla wyjednania dotacji na zakup aparatury medycznej w krajach kapitalistycznych.

Jednak i tu — tak jak w centrum strajku, na Uniwersytecie — studenci przede wszystkim żądali gwarancji odnowy uczelni. Gwarancje takie powstaną wtedy dopiero, gdy zapewni się młodzieży rzeczywisty wpływ na kształt studiów, program dydaktyczny itd. Jak rozwiązano to w omawianym porozumieniu? Poprzez — na razie — zobowiązanie ministra, że powoła on w akademiach medycznych zespoły naukowo-badawcze z udziałem przedstawicieli studentów. Będą mieli oni prawo zgłaszania tematów badań, wglądu do wyników — w części dotyczącej opinii studenckich, prowadzenia rokowań z władzami resortu czy uczelni, sporządzania protokołu rozbieżności, wnoszenia zdań odrębnych wobec decyzji władz itp. Jest więc to już nie jedno prawo, ale cały system gwarancji, mający zapewnić jawność i możliwość pełnego, demokratycznego udziału studentów w decydowaniu o najważniejszych sprawach. Czy zapewni? Czy uda egzamin? Czy zaspokoi oczekiwania wszystkich stron? — pokaże przyszłość.

*

W Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej początek strajku wypadł w pierwszym dniu sesji; tym więcej wywołał — zwłaszcza wśród starszych pracowników — wątpliwości: wielu studentów pod wodzą swych pedagogów przystępowało właśnie do ostatnich szlifów egzaminacyjnych programów. A w szkole muzycznej — gdzie wymagana jest kondycja nie tylko psychiczna, lecz i manualna — trudno, podobnie jak w sporcie, odrobić zaległości w ciągu dwóch czy trzech nie przespanych nocy nad notatkami i kawą... Na „uniwerku", jak wiadomo, jest to czasem możliwe.

W PWSM — jak opowiada rektor prof. *Zenon Płoszaj* — *zaczęto opracowywać listę postulatów dopiero po proklamowaniu strajku.* Reakcja ministerstwa była szybka: tego samego dnia, w którym dotarły postulaty, minister *Lorane* poinformował rektora o terminie przybycia komisji. Rektora, a nie bezpośrednio studentów, co uraziło ich ambicję. Do dyskusji w pierwszym terminie nie doszło, ale choć zabrakło parlamentarnego wyrobienia, wkrótce komisja przyjechała po raz drugi, zyskując sympatię studentów, tak, że nawet dyr. *Janusz Nowicki* z Departamentu Szkół Artystycznych opuszczał salę obrad „na brawach"... Efektem tych rozmów jest podpisane 17 lutego Porozumienie, satysfakcjonujące widać w pełni obie strony we wszystkich 24 punktach listy postulatów, skoro nie było potrzeby wprowadzenia protokołu rozbieżności.

Zaakceptowano pełną niezależność tej uczelni w sprawach naukowych, dydaktycznych i wewnątrzorganizacyjnych, a studenci otrzymali — o co walczyli — jedną trzecią miejsc w Senacie i in. ciałach kolegialnych, choć nawet rektor Płoszaj uważa, że przewaga profesorów i docentów — choćby minimalna — powinna być zapewniona, i podsuwa mi projekt Ustawy o Szkolnictwie Wyższym opracowany przez NSZZ „Solidarność", gdzie młodzieży przeznacza się tylko 20 proc. miejsc w Senacie.

Podobnie jak w porozumieniu uniwersyteckim, tak i tu, zapewniony został studentom udział reprezentacji w pracach legislacyjnych, a ściślej, w tej ich części, którą opracowuje Rada Wyższych Szkół Artystycznych; tenże organ zobowiązano na mocy porozumienia do zajęcia ostatecznego stanowiska na temat wprowadzenia 5 lat studiów dla sekcji instrumentów dętych oraz Wydz. Wychowania Muz. Zapadły także pozytywne dla studentów decyzje dotyczące zmian w programach i limitach godzin niektórych przedmiotów, sposobu rekrutacji, działań na rzecz nowelizacji przepisów finansowych (w kierunku zwiększenia samodzielności uczelni), poprawy wyposażenia itp).

Na trzy punkty zwrócę uwagę czytelników: ich realizacja nie obejdzie się bowiem bez udziału miasta. W punkcie 21 — narażając się zresztą na zarzut braku realizmu — studenci zażądali „przyśpieszenia remontu budynków uczelni", która — jak łatwo zauważyć zwiedzając ten zabytkowy pałac i jak podkreśla J. M. Rektor — znajduje się właściwie w stanie permanentnego remontu (ostatnio np. pokrywa się dach miedzianą blachą — bagatela, 18 ton!). Niemniej podjęte zostaną najpewniej (zadecydują o tym konserwator i ekspert studentów) prace nad całościową ekspertyzą stanu technicznego obiektu, zaś już w roku 1981/82 zapowiada się początek remontu według nowej, sporządzonej przez konserwatorów z PKZ dokumentacji. Szkołę czekać będzie m. in. wymiana stropu między dwiema salami koncertowymi, co musi oznaczać wyłączenie ich na co najmniej dwa lata: czy przyszła Akademia Muzyczna będzie mogła na to sobie pozwolić, szczególnie, że do remontu pójdzie też Filharmonia Łódzka?

Decyzja o kapitalnym remoncie PFŁ jeszcze w br. jest połową odpowiedzi na inny postulat studentów PWSM. Ale studenci zażądali przecież nie remontu, lecz „rozpoczęcia prac przy budowie nowego gmachu". Ponieważ jednak decyzja — po konsultacji ze społeczeństwem Łodzi i środowiskami artystycznymi — należy do ministra kultury (czy Filharmonia czy Muzeum Sztuki, musieli się studenci zadowolić wyjaśnieniami wiceprezydenta Polita i przedstawicieli resortu. Zapowiadana jest poza wszystkim specjalna rezolucja studentów PWSM w tej sprawie, którą chętnie również opublikujemy.

Wreszcie, ostatni punkt wkraczający w kompetencje władz miasta przynosi zobowiązanie, że dwa przeznaczone dla uczelni artystycznych akademiki oddane zostaną jeszcze w tym roku (pierwszy do 30.04., drugi — do 30.08.), „tak, by studenci PWSM mogli zamieszkać w jednym z tych budynków już od 1 września br."

*

Kiedy wertuje się dziesiątki stron podpisanych w Łodzi porozumień, zupełnie naturalnie nasuwa się pytanie: jak i w jakim czasie będzie można wcielić w życie przynajmniej ich zasadnicze punkty? Odpowiedź nie jest prosta.

Minister NSzWiT prof. dr *Janusz Górski* powiedział na zakończenie uroczystości podpisania porozumienia:

— *Wytyczyliśmy pewne ramy, ale wypełnienie ich treścią zależy od rozwoju aktywności wszystkich członków społeczności akademickiej...*

Nic dodać, nic ująć. Jeśli tej aktywności zabraknie, nie pomogą nawet „wysocy" gwaranci „łódzkiego porozumienia"; Krajowa Komisja Porozumiewawcza NSZZ „Solidarność" i Sejmowa Komisja Nauki i Postępu Technicznego. Tu mała dygresja. Niewielu ludziom wiadomo, jak stało się, że temat studenckiego strajku znalazł się w ogóle na forum Sejmu. Warto pokazać tę drogę, gdyż jest ona dowodem poselskiej wrażliwości i gotowości zajęcia stanowiska w niełatwej, wręcz kontrowersyjnej sprawie, którą bez wątpienia był protest studentów.

Na krótko przed rozpoczęciem ostatniej sesji Sejmu grupa 23 wybitnych pracowników łódzkich uczelni — naukowców zwróciła się do prof. dr *Mieczysława Serwińskiego* — posła na Sejm, przewodniczącego Wojewódzkiej Rady Narodowej, byłego rektora Politechniki Łódzkiej, a obecnie jej profesora, z prośbą o przedstawienie dwóm komisjom sejmowym: Nauki i Postępu Technicznego oraz Obrony Narodowej sprawy strajku studentów.

Prof. *M. Serwiński*, który wcześniej — na zaproszenie studentów brał udział w negocjacjach przekazał i poparł prośbę swoich wyborców, a w wystąpieniu zaapelował do Sejmu, a zwłaszcza do Komisji NiPT o przyczynienie się do rozwiązania nabrzmiałych problemów studentów i uczelni. W przerwie obrad Sejmu komisja zebrała się... Obecny był też minister *J. Górski*.

— *Publicznie namawiałem ministra do ustąpienia w kwestii studenckich praktyk robotniczych, do zgody na wybór lektoratów przez studentów* — mówi prof. M Serwiński — *Rozwinęła się ożywiona, dwugodzinna dyskusja. W jej wyniku Komisja oświadczyła, że w ramach swych uprawnień kontrolnych bierze pod swoją opiekę realizację Porozumienia, w tym rozpatrzenie przez kompetentne władze spraw zawartych w protokole rozbieżności. Po dyskusji wysłano teleks do sygnatariuszy listu — 23 łódzkich uczonych...*

Mocne stanowisko Sejmowej Komisji, która — jak podkreśla prof. *M. Serwiński* — nigdy jeszcze nie wdawała się w trwające akcje strajkowe, wzięcie przez nią na siebie roli jednego z gwarantów, można uznać za dobry prognostyk. Wszak za parę miesięcy trafi na forum tej komisji projekt nowej Ustawy o Szkolnictwie Wyższym.

Posłowie, dyskutując nad projektem, będą więc chyba mieli dobrze w pamięci tekst „łódzkiego porozumienia" i postulaty studentów. Będzie to ważne szczególnie we wszystkich spornych dziś kwestiach, tych punktach, które w opracowanych przez Komisję Kodyfikacyjną pod przew. prof. Ora Zbigniewa Resicha „Tezach do projektu ustawy..." (styczeń 1981) mają zapis wariantowy. A jest ich niemało.

Co prawda, gdy w Łodzi przystępowano do negocjacji, minister przekonywał studentów, że podpisane porozumienie będzie obowiązywać tylko do momentu wejścia nowej ustawy, w okresie przejściowym. Niemniej podczas konferencji prasowej w Warszawie ten sam minister nie robił nadziei, że nowa Ustawa pojawi się przed rozpoczęciem roku akademickiego 1981/82. Im więc dłużej trwały ciężkie, łódzkie rozmowy, tym mocniej działania studentów determinowało przekonanie, że uzyskane w ogniu studenckiego protestu zdobycze muszą mieć trwalszy charakter, a porozumienie powinno wywrzeć silne piętno na kształcie przyszłej Ustawy. Ambicje Międzyuczelnianej Komisji Porozumiewawczej pod tym względem były chwilami tak silnie manifestowane, że stwarzały wrażenie, iż studenci — jak to ktoś określił — wręcz uzurpują sobie prawo do załatwienia wszystkich spraw uczelni. Tymczasem przyszły tekst Ustawy nie będzie mógł się ostatecznie skrystalizować bez udziału naukowców, ci bowiem — inaczej niż studenci z MKP, którzy za parę lat opuszczą uczelnie — pozostaną i będą „odpowiadali przed społeczeństwem" (jak to podkreślano w czasie negocjacji) za kształt szkoły wyższej. Odpowiedzialność spadnie więc nie tylko na tych, którzy tekst Ustawy opracowywali.

Prof. Skowroński wylicza: *wcielanie w życie porozumienia, koniec kadencji starych władz i wybory nowych we wszystkich szkołach wyższych, przygotowania do wejścia nowej ustawy... Uczelnie wchodzą w bardzo trudny okres* — podkreśla.

Zapewne również o tym myślał jeden z członków Studenckiego Komitetu Jedności UŁ *Mirek Baszek* (kulturoznawstwo), gdy przed podpisaniem porozumienia wyznał:

— *Nie podchodzę do tego porozumienia euforycznie. To jeszcze nie koniec walki. Gdy się obserwuje realizację Porozumienia Gdańskiego, można przewidzieć, co będzie i z naszym...*

Rektor *Skowroński:*

— *Przeciąganie rozmów wynikało między innymi także z faktu, że wyniki tego porozumienia będą rzutowały na system szkolnictwa wyższego. Będą wymagały ogromnej pracy, nie studentów, resortu, co przede wszystkim kadry nauczającej, na którą — moim zdaniem — spadnie ciężar realizacji tego porozumienia. Podjęto bowiem cały szereg rzeczy w naszym szkolnictwie wyższym rewolucyjnych. I myślę, że Komisja Międzyresortowa zdawała sobie sprawę z płynącej z tego odpowiedzialności. To było również powodem przedłużania się rozmów...*

Gwarancji realizacji tego porozumienia nie da się jednak stworzyć środkami administracyjnymi. Konieczne będą zmiany w mentalności pracowników naukowo-dydaktycznych, a te mogą dokonywać się tylko stopniowo. Nowe programy, sposoby prowadzenia zajęć i ocen, konieczność rezygnacji z pewnych przyzwyczajeń, zmiany w systemie zaliczeń i egzaminów — to niektóre elementy nowej sytuacji. Czy kadra zdoła jej sprostać?

Z drugiej strony również studenci w większym niż dotąd stopniu będą musieli zdać sobie sprawę nie tylko z przywilejów, ale i z obowiązków. Realizacja porozumień zależeć będzie od podniesienia poziomu nauki, innego podejścia do spraw wychowania — zgoda! — ale musi się to dziać w ścisłym związku, we współdziałaniu pedagogów i studentów.

— *Są szanse, żeby powstała lepsza szkoła wyższa. Czy to się ziści — zależy także od was, od tego jak będą działały wasze organizacje* — powiedział do studentów min. J. Górski po podpisaniu porozumienia. Czy studenci wykorzystają tę szansę?

— *Nie można dzisiaj dać jednoznacznej odpowiedzi* — twierdzi prof. M. Serwiński. — *Ale sądzę, że po strajku zachowana będzie pewna energia działania. Byłbym jednak ostrożny w mówieniu o tym, co nastąpi za 2—3 lata — że aktywny udział młodzieży jest już zapewniony. Dotychczasowe doświadczenia były różne. Chyba że tę energię przejmie i reprezentować będzie samorząd, organizacja studencka...*

W rozmowach, jakie przeprowadziłem po strajku, wszyscy rektorzy: (UŁ, PŁ i PWSM wskazywali zgodnie, że już od początku października podejmowane były w uczelniach próby tworzenia studenckich samorządów. Ale udawało się to tylko częściowo. Na UŁ można podać przykład nowego samorządu w Osiedlu im. ZWM. Na Politechnice rektorzy wiele opowiadali mi o samorządzie działającym od 4 lat wśród mieszkańców domów akademickich przy al. Politechniki. Z biegiem czasu samorząd ten otrzymywał coraz większe kompetencje, miał nawet — jak podkreśla prerektor d/s kształcenia doc. dr Karol Hausman — „pewne uprawnienia decyzyjne".

— *Chcieliśmy, aby studenci stali się autentycznymi gospodarzami swego osiedla* — mówi prorektor Hausman. — *Istniejący tam samorząd stał się znany w kraju, był zaczątkiem tego, o czym mówi się dzisiaj. Wejście jego przedstawicieli do ciał kolegialnych było uhonorowaniem jego działalności...*

W UŁ, PŁ, PWSM i PWSSP jeszcze przed strajkiem rozszerzono reprezentację studentów w Senacie, choć nie wszędzie (np. w PWSM) zdążyły one zająść w fotelach w sali senatu. Studenci ci byli przedstawicielami ogółu środowiska: SZSP, NZS, AZS, rad osiedlowych i grup studentów — ogólnie mówiąc — nie zrzeszonych. Mimo to zarysowane platformy dialogu nie zostały praktycznie wykorzystane. Propozycje samorządowe w osiedlach akademickich nie mogły objąć wszystkich (np. w PŁ, w domach studenckich mieszka tylko 40 proc. ogółu uczących się stacjonarnie). Na samych uczelniach trwające od października wezwania władz pod adresem SZSP i NZS o zorganizowanie samorządu studenckiego — we wszystkich szczeblach struktury uczelni — nie spotykały się z odzewem. Do chwili, aż uderzył dzwon na strajk. Wtedy komitety strajkowe — uczelniane, „studenckie komitety jedności" tworzyły się błyskawicznie...

Czy równie sprawnie, potwierdzając nadspodziewane predyspozycje organizacyjne studentów, przekształcą się — w pokojowych warunkach — w trwałe struktury samorządowe?

— *Istnienie samorządów studenckich będzie gwarantem wpływu młodzieży na życie uczelni, jej samorządność, jej autonomię* — podkreśla rektor UŁ prof. Skowroński. Jest on optymistą.

To wśród kierownictw uczelni bardziej powszechna postawa. Prorektor PŁ d/s Wychowania — doc. dr Henryk Gralak:

— *Osobiście największy walor strajku upatruję w tym, że określone zostały zasady wyboru samorządów wydziałowych, że ujawniły się pewne nieformalne autorytety studenckie, które przejęły rolę liderów grup w środowisku młodzieży...*

Czy to może być gwarancją powstania samorządów? Wśród studentów zdania są podzielone, jest wiele głosów sceptycznych. Faktem jest, że strajk wyłonił wcale pokaźną grupę zahartowanych działaczy, którzy nawet tylko w oparciu o ostatnie doświadczenia i pewną popularność wyniesioną ze strajku, mogą wejść do nowych samorządów. Czy jednak będą umieli przenieść do codziennej pracy formy wypracowane w ogniu strajkowej walki, czy w nowych warunkach sprawdzą się?

Na UŁ np. Studencki Komitet Jedności po odegraniu swojej roli — zgodnie z wcześniejszą deklaracją — praktycznie przestał istnieć. Trzeba będzie i tak przeprowadzić nowe wybory.

Gdzieniegdzie zaczątki samorządów rodziły się jeszcze podczas strajku. Tak było np. na archeologii czy filozofii w UŁ. Ale już w ramach uniwersyteckiego SKJ o jedność — nie tylko z nazwy — było dużo trudniej. W spontanicznej akcji protestacyjnej ścierały się różne koncepcje, pojawiały się frakcje, przy czym — zwłaszcza w poczynaniach kontrolnych — decydujący głos mieli jednak nie zrzeszeni (których jest większość). Chociaż Komitet Wykonawczy RN SZSP poparł strajk, postulaty i idee jedności studenckiej (podobnie jak szereg instancji SZSP), to jednak nie uchroniono strajku przed groźbą roztamu: OKZ NZS wystąpił z próbą wykluczenia z udziału w nim przedstawicieli SZSP i uczynienia protestu sprawą wyłącznie jednej organizacji. Był to moment kulminacyjny trwającej od września — nieuniknionej zresztą i wcale niecichej — rywalizacji między NZS a malejącym liczebnie i coraz słabszym SZSP, (choć można powiedzieć, że wiele postulatów strajkowych znalazło się wcześniej — również w posierpniowych — uchwałach SZSP, np. uniejowskiej, tyle że zabrakło skutecznej realizacji).

Mimo to jedność łódzkiego strajku została zachowana, przynajmniej na Uniwersytecie. Inaczej było na Politechnice Łódzkiej, gdzie strajku nie poparł ani samorząd osiedla, ani Rada Uczelniania SZSP... (acz członkowie SZSP strajkowali).

— W związku z tym faktem — mówią mi w rektoracie — dotychczasowi szefowie RU zostali pomówieni o pasywność. My to nazywamy inaczej: lojalnością wobec władz szkoły. Staliśmy i stoimy na wspólnym stanowisku, że wszystkie sprawy można rozstrzygać bez strajku, o nie oznacza, że uchylaliśmy się w kierownictwie uczelni od wszechstronnej pomocy dla strajkujących.

Niemniej zmiany we władzach uczelnianych SZSP były nieuniknione. W nocy z 23 na 24 lutego — poprzedzającej moją wizytę w PŁ, obradowało plenum RU SZSP, które przyjęło rezygnację dotychczasowego prezydium. Powołano tzw. Tymczasowy Komitet Wykonawczy. Odejście przewodniczącego, zmiana ekipy, stwarzają nadzieję na poprawienie autorytetu SZSP na UŁ i jego kontaktów z NZS, które skądinąd przed strajkiem układały się „co najmniej poprawnie, a nawet z przejawami osobistej życzliwości". Czy jednak SZSP zdobędzie popularność? Zdaniem władz uczelni, „są wszelkie szanse na poprawne ułożenie stosunków SZSP z NZS". To może być pierwszy warunek rehabilitacji.

Może wart polecenia, naśladownictwa mógłby być przykład z innej uczelni? Z PWSSP, gdzie zanotowałem taką wypowiedź przewodniczącego Zarządu NZS Zbigniewa Koszałkowskiego: — *Robimy wszystko, żeby nie antagonizować stosunków, bo to naszej szkole nie jest potrzebne. SZSP, choć ma trudności z doliczeniem się swoich członków, zarząd bliski jest rozwiązania się, otrzymał np. dwa mandaty w Senacie. Studencki Komitet Jedności jest dowodem, że możliwa jest nawet współpraca.*

— *W łódzkim środowisku ta współpraca będzie możliwa. Fakt istnienia SKJ to potwierdził* — zapewniali mnie również studenci Uniwersytetu. Było to jeszcze przed zakończeniem strajku. Jak będzie teraz? Myślę, że studenci rozumieją, że warunkiem realizacji porozumień jest... porozumienie. Wśród nich samych.

TOMASZ SOLDENHOFF

„tylko społeczeństwa trzeźwe umieją oceniać — inne adorować lub bezcześcić"
C. K. Norwid

ADAM WĘDRYCHOWICZ

NIEKTÓRE SUBIEKTYWNE BARIERY ODNOWY

Z dużą wyrazistością uwydatniono przejawy patologii życia politycznego w Polsce w ostatnim okresie. W grupie najczęściej wymienianych elementów obrazu patologii są: irracjonalne kierowanie gospodarką; dyrygowanie, nieufność i zadufanie; niezgodność programów z czynami; manipulowanie ludźmi i karuzela kadrowa zamiast polityki kadrowej; blokowanie jawności życia i bagatelizowanie opinii; tytułomania, prowincjonalizm myślowy i tchórzostwo; nepotyzm, brak kompetencji i przerosty biurokratyczne; lojalizm zamiast pryncypialności; zastępowanie ideologii socjalistycznej doraźnymi i koniunturalnymi efektami itp, itd.

W kolejnych kryzysach — jak refren powtarzają się błędy, by po chwilowym przygaśnięciu wybuchać z siłą coraz dotkliwiej godzącą we wszystkie niemal dziedziny życia społeczno-gospodarczego.

Pod presją wydarzeń i następstw kolejnych kryzysów powstawały manifesty naprawy, przyrzeczenia i nawoływania, by tuż po osiągnięciu sytuacji uznanej za bliską normy społecznej, rozpocząć cykl spirali od punktu wyjścia..., który każdorazowo sytuuje się niżej; przy czym czas osiągania poziomu względnej stabilizacji wydłuża się i każdorazowo wzrastają jej koszty społeczne.

Jeżeli spojrzeć na kolejne okresy błędów z punktu widzenia charakteru i przebiegu naprawy, to daje się łatwo zauważyć rosnący napór sił deprecjonujących ideologicznie system polityczny socjalizmu, a nade wszystko powstawanie nowych ośrodków aktywizacji życia politycznego.

Wybitny amerykański mąż stanu, uczony, filozof i wynalazca — Beniamin Franklin — wyraził życzenie — *„że chciałby korzystać z przywileju — dla swego życia — z którego korzystają pisarze przy drugim wydaniu, tj. mogą poprawić błędy pierwszego"*.

Życie społeczne byłoby chyba niemożliwe gdyby monopol na ten przywilej był udziałem tylko pisarzy. Z takiego przywileju w pewnym zakresie korzystamy wszyscy i politycy również. Zasadne jest pytanie — do ilu wydań mogą mieć prawa? Komu pozwalać? A nade wszystko — kto jest uprawniony do zawierania wspomnianych umów z liderami życia politycznego i państwowego w naszym kraju?

W moim przekonaniu, odpowiedź na powyższe pytania zawarta jest w dokumentach ostatnich plenów Komitetu Centralnego PZPR, a jej uszczegółowienie znajdzie zapewne wiele miejsca w obradach i decyzjach zbliżającego się nadzwyczajnego zjazdu PZPR; odpowiedzi na powyższe pytania zawarte są w ogólnonarodowej dyskusji. Wydaje się, że kluczowe znaczenie dla tego problemu ma kwestia charakteru dróg kariery publicznej liderów życia politycznego i państwowego wyższych szczebli. W czasie jednej z burzliwych rozmów, zauważono, że drogi liderów życia politycznego i społecznego w Polsce upodobniły się do meteoru, gdyż można ich oglądać tylko w fazie świetlistej. (Do tematu wypadnie mi powrócić przy innej sposobności).

Przystępując do przedstawienia trudności i niebezpieczeństw czyhających na drodze prowadzącej do odnowy społecznej, zdaję sobie sprawę, że dotykam delikatnej społecznie materii. W euforii rozbudzonych pragnień, aspiracji i nadziei w okresie — jak pisze prof. Jan Szczepański — emocjonalnej „lewitacji" narodu, łatwiej nie zauważyć nawet większych przeszkód i niebezpieczeństw zagrażających naszemu socjalistycznemu ustrojowi. Kierując się pożyteczną społecznie maksymą — że trudno uchwycić właściwy moment skutecznej krytyki, a łatwo go przegapić — sygnalizuję problem.

O pożytkach dyskusji metodą drążenia trudności i przeszkód, trudno wątpić. Doświadczenia ostatnich lat dodatkowo uzasadniają dyskusję, której ramy określa tytuł i motto niniejszego artykułu. Dodam, że pisząc o subiektywnych barierach odnowy świadomie ograniczam się do prezentacji postaw grup i sił społecznych, które czerpią, bądź deklarują, że czerpią uzasadnienie dla swej aktywności z idei budowy socjalizmu w Polsce.

Największe niebezpieczeństwo upatruję w zachowaniach, postawach i mentalności ludzi — dworzan. Dworzanina można spotkać w każdej organizacji społecznej, w instytucji, na różnych poziomach hierarchii służbowej, w środowiskach o różnym poziomie wykształcenia i deklarowanym światopoglądzie filozoficznym itp. Dewizą naczelną dworzan — „zawsze jestem po tej samej stronie". Trudno dokładnie określić jak liczna jest zbiorowość dworzan i czy jest to dziedziczne, czy społecznie nabyte zjawisko. Opowiadam się za poglądem o społecznym narodzeniu dworzanina. Lektura przedmiotu, a zwłaszcza A. de Tocqueville'a — wzmacnia pogląd o dużej szkodliwości dworzan, a pewne spostrzeżenia tegoż autora dadzą się odnieść do naszej sytuacji społecznej. A. de Tocqueville konstatuje, że dwór — król — despotyzm — w znacznie większym stopniu deprawuje tego, kto mu poddaje się, niż tego, kto go narzuca. „W *monarchii absolutnej* — czytamy — *król często posiadał wielkie cnoty, natomiast dworzanie zawsze są nikczemni*". Amerykańscy dworzanie w epoce opisanej przez Tocqueville'a nie mówili już do swych panów „Wasza Wysokość", a u nas mówili nawet „Towarzysz", co stanowi istotną różnicę epoki, ale bez przerwy — wszyscy o n i mówią — jak światły jest ich władca, choć nie dochodzą, która z jego cnót zasługuje na największy podziw; przekonani są, że Pan posiadł był wszelkie cnoty, wcale się o to nie starając, ani nawet tego nie chcąc; skłonni są okazywać wdzięczność Panu, że zechciał się łaskawie urodzinć; nie oddają już Panu swych żon i córek, aby zechciał je podnieść do rangi swych nałożnic, lecz rezygnując na jego rzecz z własnych myśli, sami się prostytuują.

Wzbogaceni własnymi, łódzkimi doświadczeniami ostatnich dni możemy bez trudności d o w a r t o ś c i o w a ć te wnikliwe spostrzeżenia — cytowanego klasyka nauk politycznych. Oczywiście „Jego Wysokość" to dzisiaj może być „Prezes", „Przewodniczący" itp. Dworzanin zawsze jest w służbie kolejnych szefów.

Po konformiźmie, najpełniej ucieleśnionym w postawie dworzan, obserwujemy obecnie w życiu społecznym antykonformizm. „Przeczę, więc jestem" — oto ich legitymacja. Po epidemii „na tak" nastąpiła epidemia „na nie". Trudno orzec, która postawa jest szkodliwsza i mocniej paraliżująca autonomię myśli i sądu. „Autonomia — pisze Jan Strzelecki — *oznacza samodzielny stosunek do miary w ludzkich sprawach, do miary dobra i zła, do miary prawdy i fałszu, godności i niegodności działania. Samodzielny, to nie znaczy, jak myślą dzieci i niektórzy z filozofów, skierowany zawsze i z reguły przeciwko temu co myślą i czynią inni, uznający odmienność za konieczny warunek słuszności. Samodzielny to znaczy przede wszystkim przyjmujący osobistą odpowiedzialność za akt wyboru kryteriów, nie dążący do wyzbycia się odpowiedzialności za trwanie i rozwój wybranych wartości, do przerzucania tego ciężaru na niczyje barki, choćby to były obszerne barki historii"*. Przytoczona cytata może stanowić konkluzję kwestii.

Do innych zjawisk utrudniających proces o d n o w y zaliczam ciążące doświadczenia przeszłości W społecznej pamięci wciąż jeszcze piekącej — mocne i żywotne jest uczucie doznanego zawodu poprzednich kryzysów. Stąd też powściągliwość, którą w innych warunkach można by uznać za podejrzliwość i nieufność, wymagać będzie cierpliwości, taktu i głębokiej wiedzy, a nade wszystko wiarygodności moralnej działaczy odnowy.

Wymienione przymioty i zalety organizatorów i animatorów odnowy nabierają dodatkowo znaczenia w aspekcie wysokiego odsetka ludzi młodych wśród grup czynnych zawodowo i społecznie, szczególnie skłonnych do biegunowej optyki widzenia rzeczywistości.

Poważne utrudnienia odnowy mogą wynikać z poziomu kultury politycznej, chodzi zwłaszcza o takie jej elementy jak: brak tradycji konsultacji i negocjowania, brak ogłady w kontaktach politycznych i niezbędnej kurtuazji w tym względzie, brak umiejętności polemizowania, brak instytucji regulacji napięć itp.

Obecnie jednych paraliżuje „kompleks winy", innych ożywia i anarchizuje „kompleks apostolstwa", jedni chcą załatwić problem po cichutku, inni publicznie i najgłośniej; jedni kameralizują problemy, inni czynią zeń rynek publiczny; jedni z ulgą myślą, że to może „już ostatni problem", inni już myślą „o następnych"; jedni tylko bronią, inni tylko atakują; jedni tylko muszą, inni tylko chcą. Objawy stetryczenia i anarchizacji, odkładanie decyzji ,szarżowanie, pośpiech i podejrzliwość — oto trudności i bariery w sferze postaw zrodzone dawniej i przed chwilą, już w dzisiejszym nurcie przemian.

O ile wyróżnione skłonności i postawy powstałe wcześniej, zostały dokładniej opisane i poddane powszechnej krytyce, o tyle powstające dzisiaj — in statu nascendi — są słabiej rozpoznane, a krytyka ich mniej stanowcza. Jako że błędy już dostrzeżone, przy innych warunkach niezmienionych, są mniej niebezpieczne, a społeczeństwo doświadczone nimi bardziej krytyczne postawom, skłonnościom i błędom młodszym należałoby niezrównanie więcej poświęcać uwagi społecznej. Pamiętając przy tym ,by do starych błędów nie dodawać nowych i nie zastępować ich tylko.

Tradycja życia politycznego, jej świadomość, może być zmorą dławiącą to co nowe, a może także wzbudzać czujność i pobudzać do pionierskich rozwiązań. Aktywiści jeszcze bardzo młodzi mogą rozwijać idee ładu życia społecznego, gospodarczego i moralnego starsze od nich w porządku historycznym.

Aktywiści już starsi, mogą inicjować, studiować i stosować najnowsze rozwiązania.

Obszarem dla wszystkich jest o j c z y z n a s o c j a l i s t y c z n a. S o c j a l i s t y c z n a z w y b o r u, której kształt moralny, to zadanie wciąż jeszcze w znaczniejszym stopniu do wykonania.

Od czego zacząć?

— *„o moralności i losie społeczeństw decyduje moralność konkretnych ludzi"* —

— *„o moralności ludzi decyduje moralność społeczeństwa"* —

„Otóż tragizm każdej z tych postaw — pisze M. Dąbrowska — *zaczyna się tam, gdzie druga zawodzi"*.

ANDRZEJ KAROLCZAK

ŻYCIORYS SEKRETARZA KZ Z PAMIĘCI SPISANY

Pierwszy sekretarz Komitetu Zakładowego. Centralna postać w polityce kadrowej partii. Przywódca wielotysięcznego oddziału wielkoprzemysłowej klasy robotniczej. Człowiek, pracujący „bezpośrednio i osobiście" wśród tych, którzy nas żywią i ubierają, dają dach nad głową, wożą do pracy i z pracy itd Tych od których zależy prawie wszystko: równowaga rynkowa, eksport, inwestycje i co tam jeszcze Doświadczenia Sierpnia i wszystko to, czym teraz żyje kraj, przekonują, że nie tylko gospodarka, ale także wiele, wiele więcej zależy także od nich.

Jaki jest? Ten, popularnie zwany „pierwszym" wśród aktywu i po prostu „sekretarzem" wśród załogi? Ten, którego nazwisko utożsamiane bywa z partią tak jak nazwisko pierwszego sekretarza KC?

Życiorysy mają podobne. Już w szkole średniej aktywista młodzieżowy, do partii wstępuje młodo, w wojsku, na studiach, w pierwszej pracy Zapaleniec, odważny i niecierpliwy. Pyskaty, stawia kłopotliwe pytania na naradach, angażuje się w obronie pokrzywdzonych, wiecznie coś organizuje. Pierwsza praca w aparacie — zwykle młodzieżowym, potem instruktor w KD, KM czy KW. Studia, jeśli dotąd ich nie miał. Z reguły WSNS, zaocznie lub stacjonarnie. Znów praca w komitecie partyjnym. Około trzydziestki pierwsza propozycja — Obserwujemy Was, rozwijacie się, czas do samodzielnej roboty! Jak się widzicie jako sekretarz KZ w ...?

Sekretarz KZ! Ważny szczebel. Potem można zostać zastępcą kierownika w KW, sekretarzem KD lub KM, dyrektorem. Można zarobić na złoty, może nawet na chlebowy. Ambitny nie odmówi.

Plenum KZ. Krótkie wprowadzenie przedstawiciela instancji: Egzekutywa KW, po konsultacji, rekomenduje towarzyszom na pierwszego sekretarza KZ towarzysza... Wybierają jednogłośnie. Trema utrudnia pierwsze przemówienie. Trema tym większa, że tych ludzi towarzysz sekretarz widzi pierwszy raz w życiu. Kwiaty, koniec uroczystości. Skromny gabinet, biurko z popiersiem Lenina i — jak sądzę — uczucie samotności. Uczucie, które z mniejszym lub większym natężeniem towarzyszyć mu będzie w tym gabinecie zawsze

Do działania bierze się energicznie. Porządkowanie organizacji, ustawienie propagandy, poznawanie ludzi i problemów zakładu. Pierwsze, krytyczne uwagi. Tym cenniejsze, że patrzy wokół siebie ostrym wzrokiem, dostrzega to, czego już dwa lata później nie zauważy. Rozglądanie się za sojusznikami Nie brak ich, nie brak w zakładzie, brak tylko wśród najbliższych współpracowników. Społeczni lub półspołeczni sekretarze KZ, egzekutywa, społeczny, lub półspołeczny kierownik Ośrodka Pracy Ideowo-Wychowawczej. Na zakładowych etatach. Skończy się kadencja — wrócą. Nie mogą zadrzeć z dyrektorem, z kierownikiem. Tylko on, na partyjnym etacie, ma tu prawdziwą niezależność (?)

Modus vivendi z administracją układa się. Sekretarz zna już zakład, rozumie, czego tu nie można przeskoczyć, rozumie kompromisową postawę dyrektora. Już wie, że nie poprawi warunków pracy, że nie zmieni profilu produkcji, że nie załatwi budowy nowej hali ani ośrodka zdrowia. Już wie, że tu liczy się tylko plan. Bruderszafty po akademii pierwszomajowej, albo zawodowym święcie z dyrektorem i zastępcami. Coraz częściej w przemówieniach słowa: „...całkowita zgodność i jednomyślność KZ i dyrekcji". W nekrologu pracownika i w liście do ministra także „Dyrekcja i KZ". I kolejność ta nie wynika z pomyłki...

Nadal jest ambitny. Odczuwa dojmujący brak ewidentnego, wymiernego sukcesu Stawia na „rozwój szeregów". Pięćsetna, tysięczna, dwutysięczna legitymacja. Chwalą w nadrzędnym komitecie, jest okazja do zwiększenia stanu etatowego KZ. Sekretarz wie, że wielu spośród przyjętych to materiał ludzki średniej jakości Wie także, że to młodzi, a przecież młodzi są z nami. W partii się dotrą ideologicznie, moralnie, życiowo.

Coraz więcej do załatwienia spraw ludzkich Przychodzą w sprawie mieszkania i w sprawie wczasów, w sprawie talonów i w sprawie przyjęcia dzieci na studia. Co może załatwia. Pamięta, że pod koniec kadencji będą go oceniać i wybierać. Czasem drobny, ale spektakularny konflikcik z administracją — obrona pokrzywdzonego, przyśpieszenie remontu stołówki czy łaźni. To nie wymaga reklamy. wśród załogi pójdzie: — Stary się opierał, ale sekretarz go przycisnął...

Największą krzywdę, jaką zrobiono sekretarzom KZ w dziedzinie krępowania ich niezależności była reguła, według której z urzędu przewodniczyli KSR. Na gorset jednomyślności i partyjnej dyscypliny nałożono im pancerz autorytetu i troski o wyniki gospodarcze. To do nich, a nie do dyrekcji należało przekonanie załogi o konieczności przyjęcia „księżycowych" planów produkcyjnych, to oni, a nie dyrekcja świeciii oczami za zamrażanie płac to oni, a nie dyrekcja narzucali niepopularne uchwały dotyczące dyscypliny pracy i dofinansowania Bóg wie czego z funduszu zakładowego Oni podpierali tę atrapę demokracji i robotniczej samorządności.

Tymczasem rośnie dojmujące uczucie braku sukcesu. A jednocześnie rośnie uczucie odpowiedzialności za wyniki produkcyjne Przewodniczący KSR zaczyna się troszczyć o surowce i części zamienne, używa partyjnych kanałów nacisku na resort, zjednoczenie, władze miasta Działa na zewnątrz, jak polityk, który nie odniósł sukcesu w polityce wewnętrznej i aktywizuje się na forum międzynarodowym. Teraz on, podobnie jak dyrektor, „ma zakład na głowie". Jednomyślność nieco kiedyś naciągana staje się faktem. Coraz mniej czasu, coraz mniej zainteresowania partyjną robotą. Sekretarz organizacyjny pilnuje ewidencji, i składek, propagandzista uruchamia raz w roku maszynę szkolenia partyjnego. Coraz częściej posiedzenie egzekutywy prowadzi zastępca.

Przed kilkoma laty słyszałem na naradzie aktywu partyjnego charakterystyczny głos sekretarza KZ: — Uwijamy się jak mrówki, zajmujemy się magazynem, maszynami, stołówką, łaźnią, licencją i inwestycją, a kiedy, towarzysze ostatni raz czytaliśmy Lenina?

Z całej narady pamiętam do dziś tylko tę wypowiedź.

Zbliża się kampania sprawozdawczo-wyborcza. W KZ znaczne ożywienie. Trzeba tak pokierować wyborami, żeby była odpowiednia ilość kobiet i młodzieży, robotników i inżynierów. Żeby jeszcze byli to ludzie dobrzy, zaangażowani. I żeby przeszli! Wprawdzie ordynacja jest wygodna, ale jak się tak uprą, mogą nie wybrać... Wybierają tych dobrych, zaangażowanych. Wybierają bo ich znają i wierzą im. Wybraliby i tak, bez względu na ordynację. Wybierają też pierwszego. Uczucie lęku i samotności ustępuje.

Kwiaty. Od wydziału X i wydziału Y. Od zakładu A i zakładu B. Jeszcze indywidualnie, od fałszywych przyjaciół i prawdziwych lizydupców.

W zakładzie jest radiowęzeł, w niektórych nawet gazeta. Pierwszy dba o poziom i rozwój publikatorów, a nie ma wątpliwości, że są pożyteczne. Tylko czasem kłopotliwe. Czasem trzeba cenzurować. Życzliwie, trzeba życzliwie i cierpliwie tłumaczyć: — Słusznie, redaktorze, rąbnęliście w ten bałagan na złomowisku, słusznie, niech się przyłożą nygusy do roboty. Ale o tej jakości wyrobów to przesadziliście... wiecie, że to nie tylko od nas zależy. Przeczytają w zjednoczeniu, w komitecie, więcej szkody niż pożytku...

* * *

Strajk. We wrześniu naczytałem się reportaży ze strajku w każdym tygodniku. Utalentowani i inteligentni reporterzy ukazali jedyną w swoim rodzaju atmosferę tych zdarzeń, nastrój strajkujących, negocjacje z komisjami. Żaden jednak nie wpadł na pomysł, żeby napisać, co się działo po drugiej stronie barykady. W dyrektorskich, sekretarskich gabinetach. W tych sztabach „antystrajkowych", obradujących dniami i nocami. O beznadziejnym milczeniu instancji partyjnych. Pierwszy był wtedy szczególnie samotny. Rola dyrektora — jasna, ale sekretarz i przewodniczący rady przeżywali trudny dylemat. Toteż oni z reguły pierwsi nawiązywali kontakt z komitetami strajkowymi, interesowali się warunkami bytu strajkujących, stwarzali wstępne możliwości porozumień W ich sumieniach rodziły się dramatyczne wątpliwości i niewesołe refleksje. „Kiedy ostatni raz czytałem Lenina?".

W trudnych miesiącach minionego roku, dziś jeszcze, wielu z nich ratuje imię partii. Są współautorami niecierpliwych listów i rezolucji do KC, walczą o utracony rząd dusz, mobilizują, przekonują. Nawiązują trudne dialogi z „Solidarnością". Jedni czują się jak nowonarodzeni, jak po chłodnej, orzeźwiającej kąpieli.

Inni gorzknieją, obojętnieją, szukają sobie roboty...

BOGDA MADEJ

KAŻDY SAM SZUKA ROZWIĄZANIA

W zmieniającej się sytuacji społeczno-politycznej różne problemy wysuwały się na plan pierwszy. Pod koniec 1980 roku mało kto myślał o samorządzie robotniczym. Rzecz raczej wydawała się nierealna. Założenia reformy gospodarczej były w stadium dyskusji. KSR skompromitowany. Plany zagrożone. Żadnych dyrektyw.

Rok 1981 zmienił jednak sytuację. Zaczęły nadchodzić plany gospodarcze dla poszczególnych fabryk. Trzeba było je zatwierdzać, przyjmować, uchwalać — jak kto woli. Próbowano więc tu i ówdzie reaktywować KSR, ale związki zawodowe tym próbom były przeciwne, a przede wszystkim NSZZ „Solidarność". Trzeba więc coś było z tym zrobić i zaczęto przemyśliwać o samorządzie robotniczym.

Precedens już był. Samorządy robotnicze żywiołowo powstawały w 1956 roku. Były to rady robotnicze. Władysław Doberski tak określał ich kompetencje w piśmie „Rady Robotnicze" w styczniu 1958 roku:

„1. Zatwierdzanie planów rocznych w ramach ustalonych wskaźników.

2. Dokonywanie zmian w ramach planu.

3. Opiniowanie planów perspektywicznych.

4. Kontrola działalności przedsiębiorstw.

5. Zatwierdzanie sprawozdania rocznego przedsiębiorstwa wraz z bilansem.

6. Podział funduszu zakładowego i innych funduszów pozostających do dyspozycji przedsiębiorstwa.

7. Ustalanie wniosków o odwoływanie i powoływanie dyrektorów.

8. Ustalanie regulaminu wewnętrznego.

9. Ustalanie w ramach układu zbiorowego wytycznych stosowania norm, taryfikatorów i systemów płac.

10. Decydowanie o sprawdzaniu urządzeń, które stanowią o możliwościach produkcyjnych zakładu".

Warto sobie przypomnieć, jak to ongiś bywało, jak niegdyś samorząd wyglądał, czym się zajmować i jakie miał kompetencje. Warto wiedzieć do czego wracamy, albo czego powtórzyć nie będziemy chcieli.

Sytuacja więc w przedsiębiorstwach zmieniła się o tyle, że i samorząd zaczął być potrzebny. Okazało się, że jeszcze wprawdzie reforma w dyskusji, ledwie powszechnie krytykowana „mała reforma" zaczęła obowiązywać, a już spraw do rozstrzygnięcia jest wiele, a będzie ich jeszcze więcej.

Samorząd powinien zatem decydować o wszystkim, co się w zakładzie dzieje. Niektórzy tymczasem jeszcze zwlekają, czekając na instrukcję, dyrektywę, okólnik.

„Żadnego z tych przysmaków — napisało „Życie Gospodarcze" 25 stycznia 1981 roku, wzywając jednocześnie: „CZAS WYBIERAĆ" RADY ROBOTNICZE!" — *raczej się nie doczekają. Powołanie zakładowego samorządu jest wewnętrzną sprawą przedsiębiorstwa i w gruncie rzeczy obojętne, która z zakładowych instytucji, czy organizacji zainicjuje wybory".*

Nie mamy już złudzeń. Trzeba to robić samemu.

A ustawa o samorządzie robotniczym? Ustawa, na którą tak wszyscy czekają. Ustawa zakreśli tylko ramy. Stworzy prawną podstawę działania. Określi zakres i kompetencje. Poza wszystkim ustawa jest w trakcie przygotowań. Sporo czasu upłynie nim przedyskutuje się projekt, wniesie do laski marszałkowskiej, przedyskutuje w komisjach, przeczyta na plenarnym posiedzeniu Sejmu i wreszcie uchwali. Życie jednak czekać nie pozwala.

Trzeba będzie już dzielić fundusz zakładowy. Tu i ówdzie już się do tego wzięto. Tu i ówdzie powstały już Tymczasowe Rady Pracownicze. Różnie się je tworzy. Każdy szuka własnych rozwiązań. Aby jemu dobrze służyły. Bo spraw do wspólnego rozwiązania mnóstwo.

Zbuntowały się załogi i postanowiły nie płacić na sport. Kluby sportowe niedługo ogłoszą upadłość. Piłkarze i inni sportowcy pójdą na zieloną trawkę, której jeszcze nie ma, ale wiosna już nie tak daleko. Kluby nie płacą Hali Sportowej, bo nie mają z czego. I ta niedługo ogłosi upadłość. A do tego przecież jeszcze kultura. Na kulturę niektóre załogi też płacić nie chcą. Przyjdzie więc znane w świecie zespoły rozwiązywać, domy kultury zamykać. A jeszcze są szkoły przyzakładowe. Słyszałam już, że i w tych sprawach zaczynają się w fabrykach zastanawiać, czy przypadkiem nie mamy zbyt dużo „uczonych ludzi". Może więc pozamykać szkoły?

Dotychczasowy model gospodarki, związków zawodowych i funkcjonowania niektórych dziedzin życia społecznie nie był najlepszy, przeciwnie był zły i mamy tego skutki. Ale z drugiej strony, czy jest sens wszystko dokładnie przewracać do góry nogami, likwidować, czynić niekiedy niepowetowane straty. Jest więc nad czym się zastanawiać, o czym decydować.

Wróćmy jednak do samego samorządu.

Jaki ma być?

Aleksander Paszyński w „Przeglądzie Technicznym" z 25 stycznia 1981 roku napisał, że opowiada się *„za autentycznym samorządem jako warunkiem uspołecznienia środków produkcji — uspołecznienia a nie upaństwowienia, jak dotąd..."* Napisał tak dlatego, że chodzi mu *„o uzyskanie gwarancji politycznych dla reformy pomyślanej nie tylko jako zmiany mechanizmu ekonomicznego, ale także społecznego; są to bowiem dwie strony tego samego medalu".* Jest to bardzo ważne stwierdzenie.

Myślę nawet, że moje niepokoje wyrażone wyżej znikną, gdy zacznie autentycznie działać autentyczny samorząd. Oczywiście, samorząd robotniczy nie jest uniwersalnym lekarstwem na wszystkie nasze bolączki, ale jest taką formą społecznego i politycznego działania, która może przynieść pożądane i oczekiwane skutki. W dyskusji bowiem, w ścieraniu poglądów będą kształtowały się rozwiązania trudnych spraw nie tylko gospodarczych.

Jakiż więc ma być ten samorząd?

W projekcie reformy sprawom tym poświęcone są punkty od 71 do 79. W punktach tych mówi się, że *bezpośrednio załoga powinna uczestniczyć w zarządzaniu przez ogólne zebranie pracowników całego przedsiębiorstwa...",* a pośrednio *„przez samorząd załogi przedsiębiorstwa".* Samorząd ten jest wybierany przez załogę w głosowaniu tajnym.

Punkt 76 traktuje o prawach i obowiązkach samorządu. Przede wszystkim samorząd ma prawo występować z inicjatywą, zgłaszać wnioski i uwagi we wszystkich sprawach dotyczących przedsiębiorstwa. Następnie wyraża opinie w tych wszystkich sprawach, podejmuje uchwały w sprawach: *„profilu działalności, struktury organizacyjnej, planu rocznego i wieloletniego, powoływania dyrektora oraz całokształtu polityki kadrowej, zasad wynagradzania, regulaminu pracy, organizacji produkcji, zamierzeń rozwojowych, sprawozdań rocznych z działalności przedsiębiorstwa, podziału wyniku i wykorzystania funduszy".* Sporo tego.

Samorząd współpracuje z organizacjami politycznymi i związkowymi, jakie działają na terenie przedsiębiorstwa Jest to sprawa istotna. Do tej pory bowiem kierowniczą rolę partii w zakładzie pracy sprawowano w sposób prymitywny acz bardzo wygodny. Szefem KSR był pierwszy sekretarz KZ partii. Było to *„ręczne kierowanie".* Dziś trzeba się w organizacji partyjnej zastanowić, jak w nowych warunkach spełniać przewodnią rolę w zakładzie pracy.

Samorząd robotniczy lub — jak niektórzy chcą — pracowniczy jest organem wybieralnym. Ci, którzy w demokratyzacji życia społecznego *„poszli na całość"* i robią pełne wybory, gdzie każdy wybiera niemal każdego, wiedzą najlepiej jak jest to czasochłonne. Od wyborów ściśle sterowanych, gdzie z góry było wiadomo, kto i ile głosów otrzyma, przeszliśmy do wyborów zupełnie demokratycznych, czyli z jednej skrajności popadliśmy w drugą. Kandydaci, których mamy obdarzyć naszym zaufaniem i wówczas, i dziś są raczej mało znani. Głosuje się na nazwisko, na pozycję, na sympatię, ale nie na poglądy, wiedzę, doświadczenie, bo nie ma ani zwyczaju, ani czasu, aby je zaprezentować. A tymczasem przed każdymi wyborami powinna być kampania wyborcza, dzięki której kandydaci mieliby okazję zaprezentować swoje poglądy. Zwyczaj u nas raczej nie znany i trzeba go dopiero wprowadzić.

Jeśli więc przewodnia rola partii ma się spełniać poprzez członków to trzeba ich wybrać w organizacjach partyjnych, przedstawić jako kandydatów załodze, a następnie przeprowadzić kampanię wyborczą na ich rzecz, aby dali poznać się i zdobyli zaufanie, jeśli go jeszcze nie mają. I trzeba się tego już teraz uczyć.

Samorząd jest czymś w rodzaju sejmu, dyrektor jest premierem „rządu" fabrycznego. Dyrektor wykonuje uchwały samorządu, odpowiada przed samorządem, samorząd go powołuje, bądź opiniuje, a powołuje jednostka zwierzchnia, ale dyrektor może też wstrzymać wykonanie uchwały samorządu, *„jeśli jest niezgodna z przepisami prawnymi oraz gdyby wykonanie uchwały mogło spowodować poważne naruszenie interesu społecznego".*

Są więc już ogólne założenia, które stanowią dobrą podstawę dla opracowań szczegółowych. I takie opracowania zaczynają powstawać. „Trybuna Ludu" 27 lutego 1981 roku opublikowała przykładowy Tymczasowy Regulamin Samorządu Pracowniczego toruńskiej „Elany". Rozwiązania toruńskie idą w kierunku autentycznego samorządu, a nie — jak to próbowali niektórzy sugerować — rozwiązań pośrednich, łączących nowy samorząd ze starą KSR. Miałoby to tak wyglądać, że załoga wybiera samorząd, ten wybiera prezydium, a do prezydium dokooptowuje się jeszcze przedstawicieli poszczególnych organizacji działających w przedsiębiorstwie. Toruński regulamin w § 19 głosi:

„W okresach pomiędzy posiedzeniami samorządu funkcje jego sprawuje prezydium wybierane w głosowaniu tajnym przez wszystkich członków Samorządu Pracowniczego..."

A jak wygląda *„ordynacja wyborcza"* samorządu?

Reguluje to § 8. Oto jego treść.

„Członków Samorządu Pracowniczego wybierają pracownicy przedsiębiorstwa w swoich komórkach organizacyjnych. Wybory odbywają się na następujących zasadach:

1. Ilość członków wybierana przez komórkę organizacyjną jest proporcjonalna do jej liczebności (1 delegat na 100 zatrudnionych). Szczegółowy podział mandatów określa instrukcja wyborcza.

2. Komórki zatrudniające mniej niż 100 pracowników wybierają wspólnie jednego członka Samorządu Pracowniczego, utrzymując podaną poprzednio proporcję.

3. Nie ogranicza się liczby kandydatów.

4. Głosowanie jest tajne i bezpośrednie.

5. O wyborze decyduje kwalifikowana większość głosów (50 procent plus 1 głos).

6. Wybory są ważne, jeżeli brała w nich udział więcej niż połowa zatrudnionych w danej komórce...

7. Członkiem Samorządu Pracowniczego może być każdy z zatrudnionych z wyjątkiem członków dyrekcji przedsiębiorstwa".

W dniach 20 i 21 lutego 1981 roku odbyła się w Łodzi w „ZETO" konferencja zwołana przez NSZZ „Solidarność", a poświęcona sprawom samorządu robotniczego. Temat konferencji określono: *„Samorząd pracowniczy w przedsiębiorstwach ZETO".* W wyniku dwudniowych obrad powstał *„Statut Rady Pracowniczej".* I tutaj oparto się na ogólnych założeniach, ale rozwiązania, choćby tylko w sformułowaniach są już zupełnie inne. Porównajmy sprawę wyborów. Statut Rady Pracowniczej „ZETO" głosi:

„1. Radę pracowniczą wybiera załoga spośród pracowników przedsiębiorstwa.

2. Liczba członków rady wynosi...

3. Czynne i bierne prawo wyborcze mają pracownicy posiadający co najmniej jednoroczny staż pracy w przedsiębiorstwie...

4. Do rady pracowniczej nie mogą być wybierani:

a. dyrektor, jego zastępcy, główny księgowy, kierownicy zakładów,

b. osoby pełniące funkcje w organizacjach społeczno-politycznych, tj. związkach zawodowych, organizacjach partyjnych itp.

5. Osoby, o których mowa w ust. 4 punkt a i b mogą wejść w skład rady po uprzednim zrzeczeniu się pełnienia wymienionych funkcji.

6. Rada pracownicza wybierana jest w wyborach powszechnych, tajnych, równych i bezpośrednich, według regulaminu wyborów ustalonego przez załogę".

Inna sprawa: współpraca samorządu z organizacjami politycznymi i społecznymi w przedsiębiorstwie. Regulamin „Elany" stwierdza:

„Samorząd Pracowniczy współpracuje z organizacjami społecznymi i politycznymi działającymi w przedsiębiorstwie".

Statut „ZETO":

„Rada pracownicza jest autonomiczna i niezależna od organów administracji państwowej, jak również od organizacji politycznych i społecznych".

I dalej w art. 16:

„1. Wszystkie organizacje społeczno-polityczne działające na terenie przedsiębiorstwa mają prawo składania wniosków pod obrady rady pracowniczej.

2. Organizacje, o których mowa w ust. 1 mają prawo czynnego uczestniczenia w posiedzeniach rady bez prawa głosowania".

Problem taki sam, ale podejście inne. I nie tylko formalnie. Gdybym miała trzeci taki wzorcowy regulamin, to różniłby się on od obu porównywanych. I to chyba dobrze, bowiem, jak stwierdziłam na początku, każdy musi szukać sam rozwiązań. Cel jest jasny. W reformującej się i w zreformowanej gospodarce samorząd będzie odgrywał ważną, jeśli nie decydującą rolę. Samorządności trzeba uczyć się już teraz. Trudna to będzie nauka. Ale innego wyjścia nie ma.

I na zakończenie przypomnę jeszcze raz zawołanie „Życia Gospodarczego". CZAS WYBIERAĆ RADY ROBOTNICZE!

Komunikat Tymczasowej Komisji Porozumiewawczej NSZZ „Solidarność" sieci ZETO kończy się następującym zawołaniem. WYBIERAJCIE RADY PRACOWNICZE!

Jest to wołanie na czasie. Dodam tylko do tego, że każdy musi sobie radzić samodzielnie. Jeśli chce samodzielnie rządzić przedsiębiorstwem, to musi się do tego szykować już teraz. Też samodzielnie. Uczmy się więc samodzielności. Przy wybieraniu rad pracowniczych również.

PROPOZYCJE I LISTY

GDZIE I ILE PIJĄ ŁODZIANIE?

Odpowiedź nie jest prosta, gdyż województwo miejskie łódzkie, jako wydzielona jednostka jest jeszcze w wieku przedszkolnym i statystycznie stawia dopiero pierwsze kroki. Rocznik statystyczny województwa na rok 1980 nie zawiera pod tym względem żadnych informacji. Jedyna bowiem pozycja „zapodana" przez Rocznik (str. 366):

„Napoje alkoholowe: na jedno gospodarstwo rozchód rocznie — 3624 zł, na jedną osobę — 1473 zł", co ma stanowić 3,6 procentu budżetu domowego, jest, mówiąc oględnie, nieczytelna.

Jak nas informuje wprowadzenie do rozdziału „Budżety rodzinne" cyfry zostały wyprowadzone przez zbadanie 231 gospodarstw domowych, a więc w drodze rozpytań i ankiety. Wiemy jednak, że na ogół nie prowadzi się zapisów codziennych wydatków, a jeśli chodzi o napoje alkoholowe, to wykazuje się umiarkowane, nie szokujące cyfry, no bo jak ujawnić, że wydatki na rosę słoneczną, czyli wódzię równoważą, jeśli nie przekraczają łącznych wydatków na mięso, przeroby i tłuszcze, nie mówiąc już o tym, że czasem wykraczają i poza wysokość oficjalnych zarobków!

Tajemnicą wydawców Rocznika jest, dlaczego nie sięgnięto po ścisłe cyfry z Wydziału Handlu i Usług Urzędu Wojewódzkiego, oddając preferencję mało ścisłej, pracochłonnej i kosztownej metodzie badania nie istniejących rachunków gospodarstw domowych?

Nie ma też mowy o uzyskaniu z Rocznika informacji o wysokości spożycia oddzielnie wódki, piwa i wina, nie mówiąc już o szerszym obrazie: porównaniu spożycia miasta Łodzi z miastami województwa i gminami, analizy statystycznej bywalców izby wytrzeźwień, obłożeniu łóżek miejscowych szpitali chorymi z psychozami alkoholowymi itp. Stanowi np. tajemnicę godną badania dlaczego 20-tysięczny blisko Ozorków ma tyleż spraw o wykroczenia (jak wiadomo przeważnie na podłożu alkoholowym), co 245-tysięczna dzielnica Bałuty?

Zwróćmy się jednak do innych źródeł informacji. Ministerstwo Handlu Wewnętrznego i Usług rozesłało do Wojewódzkich Oddziałów Społecznego Komitetu Przeciwalkoholowego wykazy sprzedaży wódki w województwach w pierwszym półroczu 1980 roku, z podziałem na wódkę pitą w lokalach gastronomicznych i zakupywaną „na wynos" w sklepach. Otóż okazuje się, że zajmujemy ostatnie miejsce w korzystaniu z restauracyjnego zaopatrzenia z kwotą 16 zł 40 gr miesięcznego wydatku na jednego mieszkańca, gdy np. mieszkaniec bielskiego województwa wydaje miesięcznie 115 zł 20 gr.

Ten utracony restauracyjny prestiż odrabiamy jednak na zakupach. Laury maksymalnych zakupów „czystej" i „gatunkowej" należą do województw wydatkujących miesięcznie na jedną osobę:

łódzkiego — 325 zł, katowickiego — 344 zł, bielskiego — 372 zł.

Najmniejsze więc terytorialnie województwa — łódzkie i bielskie — biją na głowę pozostałe w zakupach. W sumie, łącząc rozchody na zakup wódki w sklepach i garmażerni, zajmują łodzianie trzecie miejsce, ustępując tylko województwom katowickiemu i bielskiemu, wydając 341,80 zł miesięcznie na jedną osobę, gdy np. rolnicze tarnowskie wydaje 196 zł 30 gr.

Korzystanie więc z usług garmażeryjno-wódczanych w naszym województwie leży na łopatkach. Stosownie do tego stanu, jeden lokal gastronom.-wódczany przypada na 10600 mieszkańców u nas, gdy w Warszawie na 2533 mieszkańców, a w opolskim — na 1939.

Czym objaśnić to odwrócenie się łodzian od wódki pitej w lokalach i zwrócenie się jednolitym frontem do zakupów sklepowych?

Odpowiedź prosta: — zmysłem gospodarczym łodzian. Statystyczny bowiem łodzianin kombinuje: — Po licha mam płacić w restauracji za kieliszek tyle, gdy mogę za tę cenę dostać w sklepie dwa! No i leci po butelkę do sklepu wódczanego, kupując przy okazji dwie albo trzy.

Picie w lokalach przesuwa się w ten sposób na picie w domach, latem w parkach, ostatecznie na schodach, podczas pracy...

Miesięczny rozchód na jednego mieszkańca na wódkę 341,40 zł, to roczny 4096,80 zł. Co za różnica wobec ofiarowanej nam przez Rocznik statystyczny kwoty — 1473 zł! To w dodatku wydatek na samą wódkę. No, ale nie samą wódką łodzianin żyje. Nie gardzi piwem, winem, no i bimbrem. Ile razem?

Wydział Handlu i Usług Urzędu Wojewódzkiego informował w ubiegłym roku, że spożycie (za 1978 r.) napojów alkoholowych, w przeliczeniu na spirytus, wynosiło 10,16 l wobec średniej krajowej 8,2 l. Przyjmując te liczby i na 1980 rok, otrzymamy za sumę wódczanego rozchodu 4096 zł 80 gr osiem litrów napoju wódczanego, a resztę, ok. dwóch litrów pokrywamy zatem w piwie i winie.

Tenże urząd informuje, że spożycie wina i miodów za 1979 rok wynosiło 7,4 litra, a piwa 23,4 litra na jednego mieszkańca. Na każdy więc litr wina łodzianin wypija trzy litry piwa. Stosunek ten odbiega od przeciętnego krajowego modelu: na jeden litr wina przypada pięć litrów piwa. Wskazuje to zatem na wyjątkowo duże spożycie wina w naszym województwie, które jest ulubionym napojem młodzieży.

W sumie więc zajmujemy jedno z pierwszych miejsc w spożyciu alkoholu w kraju. Dodajmy, że i w nielegalnym gorzelnictwie Łódź zajmuje pierwsze miejsce przed Białymstokiem, Lublinem, Kielcami i Krakowem.

Otwieramy rok 1981 z nadzieją na bardziej przejrzyste informacje dotyczące spożycia napojów alkoholowych. Jest to też rok ofensywy na froncie alkoholowym, jak przekonuje odbyte w dniu 15 grudnia plenum Zarządu Głównego Społ. Komitetu Przeciwalkoholowego, rok opracowywania nowej ustawy, realizującej daleko idące ograniczenia sprzedaży, produkcji i powszechny obowiązek trzeźwości. W dążeniu tym odnotowujemy połączone wysiłki władz państwowych, katolickiego duchowieństwa, organizacji społecznych, związków zawodowych.

WITOLD KOTOWSKI

(członek Prezydium Społecznego Komitetu Przeciwalkoholowego w Łodzi)

LAUREACI NAGRÓD MIASTA ŁODZI

MIĘDZY BIUROKRACJĄ, TECHNOKRACJĄ I DEMOKRACJĄ

W 1950 roku Jerzy Wróblewski był jednym z najmłodszych profesorów w Uniwersytecie Łódzkim. Do dziś chodzą opowieści o tym, jak to kasjerka, kiedy przyszedł po pensję, zareagowała ze zdumieniem: „Co pan tu robi? Studenci odbierają stypendia w sąsiednim pokoju". Prof. Jerzy Wróblewski, tegoroczny laureat Nagrody Miasta Łodzi, rozpoczął studia prawnicze w Uniwersytecie Jagiellońskim w 1945 r. Skończył je w ciągu dwóch lat (równolegle studiował filozofię), gdyż tak można było wtedy studiować, mimo że nie był znany indywidualny system studiów ani inne dydaktyczne udogodnienia. W uczelniach natomiast istniały jeszcze szkoły naukowe i mistrzowie. Mistrzem Jerzego Wróblewskiego był Jerzy Lande, wychowanek profesora Petrażyckiego. Poglądy tego jednego z największych polskich prawników są do dziś aktualne i skłaniają do dyskusji. Prof. Leon Petrażycki — relacjonuje Jerzy Wróblewski — uważał, że prawo to przeżycie. Prof. Lande posuwał się w swoich rozważaniach jeszcze dalej. Uważał, że nie wystarczy mówić o samym przeżyciu, ale, że ma ono swoje odpowiedniki. Idealnym odpowiednikiem jest norma jako reguła zachowania. Natomiast odpowiednikiem społecznym tego przeżycia są zachowania się pod jego wpływem. W ten sposób powstał zalążek wielopłaszczyznowej koncepcji pojmowania prawa. Prof. Lande był znakomitym nauczycielem akademickim. Jeszcze dziś prof. J. Wróblewski pamięta jego wykłady i metody pracy z uczniami. Nigdy nie narzucał innym własnego zdania, uczył natomiast umiejętności samodzielnego myślenia i prawidłowego stawiania zagadnień. Wykształcił wielu uczniów, z których niejeden posiada dziś tytuł profesora. Swój dług wobec swego mistrza spłacił Jerzy Wróblewski pisząc wstęp do wydanego w 1959 roku zbioru prac prof. Lande „Studia z filozofii prawa". Po doktoracie w 1949 roku Jerzy Wróblewski pracował w Uniwersytecie Jagiellońskim. W 1950 przeniósł się na Uniwersytet Łódzki. Piastował tu wiele funkcji i stanowisk, aż po stanowisko prorektora w latach 1965—68. Od początku pracy na UŁ prof. Jerzy Wróblewski kieruje katedrą, a po reorganizacji, Zakładem Teorii Państwa i Prawa. Przez wiele lat pełnił obowiązki sekretarza generalnego Łódzkiego Towarzystwa Naukowego.

Zapytany o główne kierunki badawcze, prof. Jerzy Wróblewski na pierwszym miejscu wymienia zagadnienia teoretyczne związane z metodologią prawoznawstwa i z prawem. Pasjonuje go zwłaszcza metodologia prawoznawstwa. Dwadzieścia lat temu sformułował on pogląd, iż badania prawnicze powinny być prowadzone w sposób wielopłaszczyznowy, przy wykorzystaniu w maksymalnym stopniu metod i wyników innych nauk, np. psychologicznych, społecznych, itp. Prof. Jerzy Wróblewski uważa, że nie wystarcza już dziś hołdowanie tradycyjnej metodzie dogmatyczno-prawnej, polegające jedynie na analizie językowej tekstów prawniczych. Konieczne jest dziś również badanie oddziaływania takiego tekstu oraz, ewentualnie, odpowiednio uzasadniona jego ocena.

— Prawnik powinien szukać kontaktu z innymi dyscyplinami naukowymi — określa swoje naukowe credo prof. Jerzy Wróblewski — zależnie od właściwości badanego problemu. Powinien więc opanować nauki styczne z prawoznawstwem. Chciałbym jednak przestrzec przed integracją pozorną. Typowym przykładem może być cybernetyka, której wykorzystanie w prawoznawstwie musi cechować wykorzystanie nowego podejścia, inaczej grozi nam niebezpieczna powierzchowność, czysto terminologiczna.

Profesora J. Wróblewskiego interesuje również teoria stosowania prawa i teoria wykładni prawa. W 1959 roku wyszły spod jego pióra „Zagadnienia teorii wykładni prawa ludowego". Była to pierwsza monograficzna praca na ten temat w kraju. Autor ujmuje zagadnienia wykładni prawa z semantycznego punktu widzenia. Dotychczas w rozważaniach prawniczych uważano, że wykładnia prawa polega na ustalaniu znaczenia, które tkwi w tekstach prawniczych, formułujących wolę prawodawcy. Jerzy Wróblewski wykazał, że można rozpatrywać wykładnię prawa jako pewien szczególny sposób ustalania znaczenia tekstów prawnych na podstawie szeregu dyrektyw. J. Wróblewski zajmuje się głównie wykładnią operatywną, dokonywaną w procesie stosowania prawa. Rezultat badań nad stosowaniem prawa zawarł w pracy pt. „Sądowe stosowanie prawa", wydanej w 1972 roku. W rok później praca ta wpisana została do „Księgi Czynów i Osiągnięć Nauki Polskiej". W pracy tej profesor daje ogólną teorię sądowego stosowania prawa i uzasadnień decyzji stosowania prawa. Wprowadza pojęcie ideologii stosowania prawa — przez którą rozumie sformułowanie wartości, których realizacji powinno prawo służyć, względnie dyrektyw podejmowania decyzji, którymi stosujący prawo powinien się posłużyć. O wartościach tych napisał pracę „Wartości, a decyzja sądowa" (1973). W pracach nad stosowaniem prawa J. Wróblewski starał się wykazać rolę elementów oceniających, która wpływa na sposób rozwiązywania zagadnień, na odpowiedzialność decydentów i możliwości kontroli ich decyzji. Profesora J. Wróblewskiego interesują również zagadnienia tworzenia prawa; budowa modelu racjonalnego tworzenia prawa. W modelu tym wyodrębnia się zagadnienia, które w sposób racjonalny należy rozstrzygnąć, ustanawiając w sposób uzasadniony przepisy prawne. W związku z prowadzonymi pracami został powołany jako ekspert przez Komisję Prac Ustawodawczych Sejmu. Opracowana przez prof. Wróblewskiego monografia poświęcona racjonalnemu tworzeniu prawa czeka na wydanie. Studenci mogą korzystać ze skryptu pióra profesora o zasadach tworzenia prawa.

W ostatnich latach w nauce i życiu społecznym występuje kryzys tradycyjnych sposobów przekazywania informacji. W związku z tym, że działalność prawodawcza we wszystkich współczesnych państwach jest coraz bardziej obfita, trudno jest niejednokrotnie ustalić, które problemy prawne są uregulowane przez akty normatywne. Odpowiedzi na to pytanie szuka zarówno obywatel jak i organ państwowy, który zamierza wydać decyzję, jak i sam prawodawca. Tworzony obecnie centralny zautomatyzowany Rejestr Aktów Normatywnych przy Bibliotece Sejmowej PRL, będzie miał właśnie za zadanie w pierwszym etapie swego rozwoju udostępnienie informacji o prawie obowiązującym i regulowanych przez nie problemach. Innymi słowy, chcący skorzystać z porady przedstawiciele administracji, jak też resorty i instytucje, uzyskają tu odpowiedź na pytanie, czy określony problem jest prawnie uregulowany i jeśli tak, to w jakich aktach normatywnych.

Obecnie grupa współpracowników profesora Wróblewskiego kończy pod jego kierunkiem prace nad tezaurusem rejestru, przy pomocy którego opisuje się treść aktów normatywnych wprowadzanych do systemu oraz formułuje pytania przez użytkowników rejestru. Na wdrożenie tego systemu informatycznego czekają z niecierpliwością zarówno organa państwowe jak i środowisko prawnicze.

Wprawdzie Jerzy Wróblewski koncentruje się na zagadnieniach teorii prawa, jednakże nie są mu obce problemy związane z teorią państwa, a zwłaszcza relacje między biurokracją, technokracją i demokracją. Profesora interesuje problem, czy biurokracja jest, a jeżeli tak, to w jakim stopniu, związana z koncepcją technokracji. Nowością podejścia jest wyodrębnienie różnych pojęć biurokracji: jako grupy społecznej, jako organizacji formalnej lub jako procesu decyzyjnego.

Bardzo dziś aktualne będą również badania i

Foto: R. Łucyszyn

JERZY WRÓBLEWSKI: „Prawnik powinien szukać kontaktu z innymi dyscyplinami naukowymi, zależnie od właściwości badanego problemu".

prace profesora nad zagadnieniami władzy lokalnej. Doświadczenia zebrane przez 9 lat pracy społecznej prof. J. Wróblewskiego jako przewodniczącego Komisji Oświaty, a później Komisji Oświaty i Nauki w Radzie Narodowej (przez dwie kadencje był członkiem prezydium) skierowały jego zainteresowania na prowadzenie badań konfrontujących przepisy z praktyką. W końcu lat pięćdziesiątych przeprowadzono w Łodzi takie badania po raz pierwszy w kraju — od tego czasu ukazało się kilkadziesiąt tomów badań prawno-empirycznych. W Łodzi działa kierowany przez prof. J. Wróblewskiego Interdyscyplinarny Zespół Naukowo-Badawczy Problemów Władzy i Administracji, złożony z przedstawicieli różnych dyscyplin naukowych.

Pisząc o działalności naukowej i społecznej profesora Jerzego Wróblewskiego nie można pominąć jego aktualnie prowadzonej pracy w Senackiej Komisji Modelu Uniwersytetu, która działa pod jego kierunkiem. Dokument opracowany przez komisję stał się przedmiotem ogólnopolskiej dyskusji na konferencji zorganizowanej w grudniu przez Uniwersytet Jagielloński. Model opracowany przez łódzką komisję przedstawia uczelnię od strony jej funkcjonowania oraz wskazuje kierunki zmian regulacji prawnej od szczebla ustawowego aż po statut uczelni.

— Osobiście rozumiem samorządność uczelni — mówi prof. J. Wróblewski — jako stosunek między uczelnią, a resortem, a następnie jako stosunek uczelni do sił społeczno-politycznych oraz jako relacje wewnątrz samej uczelni. Myślę tu o stosunkach między organami kolegialnymi a jednoosobowymi. Dążymy do tego, aby organa kolegialne (Senat, Rady Wydziału i Rady Instytutów) były wybierane w sposób zapewniający autentyczną reprezentację poszczególnych środowisk universitatis oraz, by organa jednoosobowe były wybierane i odpowiedzialne przed wyborcami.

Prof. Jerzy Wróblewski jest również członkiem Komisji Kodyfikacyjnej, przygotowującej ustawę o szkolnictwie wyższym. Najogólniej mówiąc, samorządność zewnętrzną uczelni wobec resortu ma się zabezpieczyć przez ustalenie, że wszystko, co nie jest zastrzeżone w ustawie do kompetencji organów centralnych, należało do kompetencji szkoły wyższej. Dąży się również do tego, aby szkoły wyższe same ustalały plany i programy nauczania.

Od dawna postulujemy, aby obowiązywały 5-letnie studia wyższe. Warto podkreślić, że wiele postulatów sformułowanych zarówno w modelu UŁ jak i zawartych w opracowanych przez Komisję Kodyfikacyjną tezach do projektu ustawy o szkolnictwie wyższym, zostało wprowadzonych do dezyderatów młodzieży akademickiej w czasie akcji strajkowej w Łodzi i zawartych w porozumieniu kończącym strajk między MKP a komisją resortową. Stanowisko względem szeregu punktów spornych między młodzieżą, a Komisją Międzyresortową zajął Senat UŁ w dniu 7 lutego, co wpłynęło na dalszy tok prac przygotowujących porozumienie.

— Chodzą wieści, że u pana profesora jest bardzo trudno zrobić doktorat — pytam pod koniec rozmowy. **— Ile w tym, pana zdaniem, prawdy?**

— Za wieści nie odpowiadam. Zgadzam się natomiast z poglądem, że bardzo trudno jest przygotować rozprawę doktorską z teorii państwa i prawa. Obawiam się jednak, że czasem środowisko akademickie stawia doktorantom zbyt małe wymagania. Zabiegamy o ilość, a nie o jakość prac doktorskich, co gorsze — pod względem ilości tych prac ocenia się czasem promotorów. Poza tym, w toku prac kodyfikacyjnych nad ustawą o szkolnictwie wyższym niejednokrotnie dyskutowano nad tym, czy każdy doktor musi być doktorem habilitowanym.

W moim zakładzie obecnie mam czterech doktorów i dwóch magistrów, co może być chyba powodem do satysfakcji. Innego typu satysfakcję sprawiła mi rozprawa doktorska przygotowana we Włoszech i poświęcona moim poglądom na temat wykładni prawa.

Prace prof. J. Wróblewskiego obejmują blisko 500 tytułów i tłumaczone są na wiele języków. Sam profesor jest członkiem komitetów redakcyjnych dwóch międzynarodowych czasopism prawniczych Rivista Internazionale di Filosofia del Dizitto oraz Archiv für Rechts — und Sozialphilosophie. Często bywa także zapraszany na wykłady do Europy i Ameryki.

— Kiedy znajduje pan czas na to wszystko?

— Właściwie nie mam czasu na nic poza nauką. Tak się szczęśliwie składa, że praca naukowa jest dla mnie największą pasją. Dawniej uprawiałem turystykę górską i zimą i latem. Ostatnio, niestety, i na to nie mogę sobie pozwolić.

Przygotowała:
MAŁGORZATA GOLICKA

LISTY DO REDAKCJI

Od „Stomatologa Piotrkowskiej"

Szanowny Panie Redaktorze!

Zamierzałem tylko Panu donieść o tym, iż artykuł Tomasza Huberta Orłowskiego pt. „Piotrkowska i jej stomatolodzy", zamieszczony w poczytnym, z numeru na numer znakomitszym tygodniku „ODGŁOSY" (z dnia 22 lutego br.), jako „wywołany do tablicy" — uważnie przeczytałem.

Nie miałem bowiem przekonania i nadal nie mam do celowości „krzyżowania szpady" z T. H. Orłowskim na tematy tak trudne jak problematyka projektowania i realizacji architektury w ogóle a w strefie konserwatorskiej ulicy Piotrkowskiej w szczególności.

Również dlatego, iż nie znam T. H. Orłowskiego, co mi wyraźnie przeszkadza w ujęciu i formułowaniu treści odpowiedzi. Brak jej mógłby jednak utwierdzić T. H. Orłowskiego w przekonaniu o słuszności jego wywodów a stąd już blisko do zarozumialstwa i przeświadczenia o posiadanej „specjalizacji architektonicznej".

Problem podstawowy o którym mowa w artykule, to sprawa tzw plomb które autor nazywa „nowotworami budowlanymi", czym sugeruje, iż nie darzy ich sympatią.

Zacznę od stwierdzenia faktu, iż, ul. Piotrkowska w XIX i XX wieku powstawała właśnie metodą swoistego „plombowania" zabudowy działek budowlanych.

Był to proces czasoprzestrzenny, w którym zmieniały się poglądy estetyczne, warunki gospodarcze, techniki i materiały. Dzięki właśnie powyższym zmianom w czasie, uzyskała treści architektoniczne, tak w różnicowaniu gabarytów zabudowy, rozrzeźbieniu rzutów, detalowaniu itp dającym jej jedyną, niepowtarzalną „oczystość" formy i autentyczne piękno. Prawda ul. Piotrkowskiej jest zawarta w szczególnym chaosie architektonicznym, rozumianym obecnie, a kiedyś praktykowanym, jako wolność wypowiedzi, nie skrępowanej przez decydentów, przy pełnej odpowiedzialności twórców.

Proponuję T. H. Orłowskiemu uważniejszy spacer ulicą Piotrkowską, po to aby stwierdzić, w jakiej zgodzie sąsiadują ze sobą budynki neorenesansowe, obok neogotyckich, neobarokowych, eklektycznych, secesyjnych i nijakich.

Architektura jest projektowaniem ram przestrzennych życia, nie znoszącym uniformizacji, bowiem nie akceptuje jej człowiek, któremu ma służyć.

Nie znalazł się na całe szczęście dla ulicy Piotrkowskiej w minionych historycznych już czasach mędrzec, który uzurpując sobie jedynie słuszne sądy wskazałby na prawo i powiedziałby: to jest dobre — i powstałyby budynki wyłącznie neorenesansowe, neogotyckie bowiem zostałyby wyklęte.

Kłaniają się tu poglądy współczesnego amerykańskiego teoretyka architektury (praktyka również) Roberta Venturi, do poznania których w jeszcze głębszej sferze przemyśleń T. H. Orłowskiego zachęcam.

Może zacznę się wtedy chwiać kanony i kryteria, które tak jednoznacznie „zastosował" w ocenie nowo powstałych plomb, wskazując wyciągniętą prawicą na północ od ulicy Głównej, gdzie znalazł DOBRO, potem na południe, gdzie znalazł ZŁO. Nie będę przeprowadzał analizy profesjonalnej powyższych obiektów, nie wszystkich czytelników mogłoby to bowiem zainteresować, a poza tym nie dam się tak łatwo namówić do wyrażania opinii o dziełach moich kolegów, zwłaszcza na łamach prasy, lecz jedno mam ochotę ujawnić: „wielka płyta" poprzez strukturę swoją, w której okno zlokalizowane jest w „masie muru", a wzbogacone urzeźbionymi obramowaniami jest bliższe konwencji zabudowy historycznej, niźli „staccato" tysiąca balkoników tworzących rodzaje rytmów nie znanych w architekturze przedmodernistycznej.

Mogę zapewnić T. H. Orłowskiego, iż znam pojęcie kultury kontynuacji i nawiązań oraz doceniam potrzebę twórczego jej stosowania w praktyce architektonicznej, nie dam się jednak namówić do stosowania form stylizowanych we współczesnym budownictwie mieszkaniowym ulicy Piotrkowskiej, zwłaszcza w narzuconej uprzemysłowionej technologii realizacji, zbyt dobrze bowiem pamiętam okres błędów i wypaczeń w architekturze, który wynikł z „twórczego rozwinięcia" form detalowania, oraz porządków stosowanych przez starożytnych Greków i Rzymian.

Nie dam się też namówić do projektowania parkingów w piwnicach obiektów zabytkowych, czy odtwarzanych choćby rodem z samego Paryża, ponieważ znam z praktyki architekta-budowniczego uwarunkowania posadawiania budynków w obszarze śródmieścia Łodzi, które dyktują konieczność maksymalnego uwalniania z zabudowy kubaturowej strefy piwnic.

Za wytknięcie „ewidentnego" błędu w projekcie plomby przy ul. Piotrkowskiej 177 serdecznie dziękuję, tym bardziej, iż autor artykułu zmniejszył powyższy błąd o połowę bowiem po stronie północnej zabudowy gabaryty są zgodne.

Bliski jestem wyrzutów, iż nie zaprojektowałem w tym miejscu budynku o wysokości jednej nadziemnej kondygnacji, aby dać pełną satysfakcję autorowi artykułu oraz maksymalnie wyeksponować attykę pałacyku Franciszka Chełmońskiego.

Dziwi mnie fakt, iż T. H. Orłowski, wykazując tyle troski o plomby ulicy Piotrkowskiej, nie widzi jednocześnie, iż w paru miejscach tego wspaniałego założenia urbanistycznego „wybito" znaczne fragmenty „szczęki" wstawiając w to miejsce „kły" współczesnej, prestiżowej, lśniącej szkłem i aluminium architektury.

Kiedyś, przed laty, chodziłem do szkoły muzycznej. Pamiętam, iż profesor mój, Feliks Rudomski opowiadał o Fiodorze Szaliapinie. Okazuje się, iż w okresie kiedy wielki ten śpiewak nie znał zasad emisji głosu, śpiewał bez trudu wszystko. Kłopoty zaczęły się po zdobyciu pełnego „wtajemniczenia", poznania kryteriów i nabrania pokory wobec sztuki. „Pchłę" Modesta Musorgskiego przygotowywał wtedy trzy lata, ciągle uważając iż nie nadaje się ona do „publikowania".

O jedno mam do T. H. Orłowskiego wyraźną pretensję. Nie zadał sobie trudu, aby sprawdzić iż autorów jest DWÓCH, podobnie jak głównych projektantów. Pominął więc mgr inż. arch. MIROSŁAWA WIŚNIEWSKIEGO, znakomitego architekta, autora wielu nagrodzonych konkursów, autora planu szczegółowego śródmieścia Łodzi. Nie jest to może „fair play", iż ujawniam ten fakt w momencie opublikowania krytycznej opinii o naszych „plombach", zakładam jednak iż ma przede wszystkim własne zdanie, dotyczące projektowanych obiektów.

BOLESŁAW KARDASZEWSKI
doc. dr inż. architekt

„Co się stało z Liceum im. Michała Kajki"

W związku z artykułami dr Karola Przesmyckiego i ob. Honoraty Chróścielewskiej umieszczonymi na łamach „Odgłosów", dot. likwidacji XI Liceum Ogólnokształcącego im. Michała Kajki uprzejmie informuję:

Z dużą uwagą przestudiowałem obydwie publikacje i wyrażam ogromne uznanie dla ludzi, którzy tak żarliwie i mocno domagają się odpowiedzi co dzieje się ze sztandarem wymienionego liceum, portretem M. Kajki i innymi pamiątkami.

Cieszy mnie wrażliwość i pamięć tych ludzi, a szczególnie w stosunku do symboli narodowych, które w życiu każdego narodu są tak bardzo ważne.

Uprzejmie komunikuję, że sztandar znajduje się w godnym miejscu i jest właściwie zabezpieczony w XXIV LO im. M. Skłodowskiej-Curie ul. Marysińska 61/69, a portret w Społecznym Domu Kultury RSM „Lokator", ul. Nowopolska 12/14 pod opieką Koła PTTK m. M. Kajki.

Z upoważnienia naczelnika dzielnicy
MGR KAZIMIERZ OLCZYK
inspektor oświaty i wychowania

Czy tylko XI LO?

Ci, którzy decydowali o sprawach, którym chcę poświęcić kilka słów — głośno i przy każdej okazji mówili o wychowaniu patriotycznym. Tak jednak, jak w wielu innych przypadkach było to pustosłowie. Po przeczytaniu listów do redakcji w sprawie XI LO nieodparcie nasuwa się myśl, że ludzie dobrej woli i gorącego serca składali chwile jak cegły, by budować dzieje na nowo odrodzonej Polski. Inni — w sposób bezmyślny (?), z wysokich biurek, na którymś tam piętrze jakiegoś urzędu niszczą to...

Przykładów na te „radosną twórczość" jest wiele. Oto pytania, na które daremnie szukano rozumnych odpowiedzi:

— dlaczego zlikwidowano Szkołę Podstawową nr 69 im. E. Estkowskiego,

— dlaczego w stadium likwidacji znajduje się Szkoła Podstawowa nr 147 im. S. Żeromskiego.

Sprawom tym należałoby się przyjrzeć bliżej — pachnie tu brzydko arbitralnością i lekceważeniem człowieka.

— dlaczego zlikwidowano w Górnej (inne dzielnice mają swoje odpowiedniki) szkoły o numerach 2, 27, 62. Wykreślono z rejestru numery tych szkół, dając jednocześnie nowo zbudowanym numery: 187, 189, 190, 191.

— dlaczego nikt nic nie zrobił w tym kierunku, aby nośnikami tradycji zlikwidowanych stały się nowe szkoły podstawowe na Dąbrowie.

Czy mogło komuś zależeć na niszczeniu tradycji polskiego szkolnictwa? Nie przypuszczam, by podejmujący te decyzje „nie wiedzieli, co czynią". Zdawali sobie i zdają sprawę, że wielki patriotyzm rodzi się z małego patriotyzmu z przywiązania do rodziny, domu, klasy i szkoły. Mogło jednak tak być, że urzędnikom organizującym Wielkie Akademie, Wielkie Olimpiady, Wielkie Konkursy, Wielkie... nie starczyło już sił na myślenie o takich drobnych sprawach.

Tak naprawdę, to jednak chciałoby się wiedzieć, jakimi przesłankami kierowano się w tych poczynaniach. Szarzy pracownicy szkół, którzy są bliżej tych spraw niż „decydenci" na górze są przekonani, że nie wytrzymują tu próby sił zarówno argumenty ideowe jak i materialne.

Czy jest wskazane, by likwidować szkoły mające 200 uczniów. Czy jest z kolei wskazane, by organizować szkoły — kolosy, grupujące w swych murach 1000—2000 dzieci. Koncentracja doborowych sił pedagogicznych i doskonałego sprzętu okazała się iluzją, jak wiele innych. A dzieci pokonują kilometrowe dystanse do szkoły, przekraczając przy okazji tranzytowe jezdnie. Dla jasności. Chodzi mi w tym, co napisałem, o dwie sprawy:

1. o świadome czy nieświadome niszczenie tradycji polskiej szkoły,

2. o likwidację (w imię jakich racji?) szkół małych i tworzenie gigantów.

Decyzje te — dla człowieka czy przeciw.

EUGENIUSZ SCHNEE
Łódź, ul. Podhalańska 29 m. 24

RYMWID MACIEJ KONONOWICZ

IKAR

(do Dedala)

To było, kiedym musiał po raz pierwszy odejść
W gałąź lub w słońce, gdziekolwiek, byle wyżej,
Nad korzenie, nad ziemię, dotknąć głębi wiatrów,
Sprawdzić lotność skały, dźwignąć brzemię ciała.

To było, kiedym płynął w liściu lub w promieniu,
Skądkolwiek, gdzieś z daleka, z głębi zapomnienia,
Z jaskini, z ziemi, z wyspy (brakło jej na mapie
Jak braknie końca myśli za mojego trwania).

W upadku niech się zamknie wielki czar tworzenia
Skał górnych, płynnych lotów, formowania zdarzeń,
Które nastąpić mogły, gdyby dane było.

W mym locie niech się zawrze cały ból upadku
Bez słowa, bez nadziei, z wyżyn ideałów.
To było wtedy ojcze, gdy się stać nie mogło...

DEDAL

(do Ikara i innych)

Przeznaczeni jesteśmy do gestów rozległych
Kryjących w sobie ziarno powodzenia.
I z małych gestów wydzieranych z trudem
Wzejdzie kiedyś lot wielki — bez upadku na dno.

Każdego lotu płynność jest tylko pozorna,
Bo jest w niej siła mięśni ponad wszelką miarę.
Więc nim wypłyniesz w górę jak słońce znad morza
Naucz się ramię wprawiać w ruch spokojny nader.

Niech was upaja szeroki ruch skrzydeł,
Wysokie loty i słońce pod wami.
I ja na starość podnoszę kotwicę.

I płynę własnym morzem — małe ziarnko soli.
Mam własną otchłań, w której słońce tonie.
Wy — miejcie lot wysoki, który gwiazdy wznosi.

CIEŃ

Tylko nocą
gdy zgaszę światło
i zasunę kotarę oczu
mogę odwiązać od nóg
i zostawić w kącie pokoju
mój cień
czuły na każdy mój dzienny gest
zmęczony całodzienną wartą
mogę uwolnić
mojego najwierniejszego
anioła stróża
który jednak podrywa się
na każdy szelest światła
i skwapliwie przybiega na służbę
który krąży
na orbicie okołomojej
systematycznie
jak wskazówki wyregulowanego
monotonnego zegara
i liczy na palcach
moje dobre uczynki
Tylko nocą
daję mu spokój i czapkę niewidkę
i dobre sny o podopiecznym
wtedy jesteśmy obaj
niezależni od siebie
żyjemy sennym
samowystarczalnym życiem
I tak do świtu
Rankiem
przykuwa mnie do swoich stóp
mój cień
najsumienniejszy
najbardziej przebiegły policjant
śledzący każdy mój dzienny gest
otaczający mnie dokładnie
oglądający mnie podejrzliwie
ze wszystkich stron
notujący w pamięci
jak na fotograficznej kliszy
każdy mój fałszywy krok
I tak do zmierzchu
Nocą
kiedy usypia skrzypienie podłóg
i układa się do snu mój cień
odwiedza mnie rachunek sumienia.

☆ ✠ ☆

tak do mnie milczysz
już do snu sposobna
tak do mnie trwasz w bezruchu
jakby skrępowana
tak do mnie dłońmi
mocno się odpychasz
tak się ze mną wciąż dzielisz
jakby włos na czworo
tak do mnie
lub ode mnie
wciąż wyruszasz w drogę
tak do mnie
lub ode mnie
wciąż powracasz w trudzie
tak we mnie
lub obok mnie
krew dojrzewa twoja
tak się wciąż rozmijamy
na jedynej ścieżce.

JERZY URBANKIEWICZ

GARB

Typowy młyn. Zaprzyjaźniony z wierzbami. Zawsze na oczach mnichów nieruchomych, zapatrzonych w poddaną karpysom wiatrów toń. Tam było zboże i plewy, tu — żabi niepokój przepleciony sitowiem. Koło staroświeckie, na kółkach, bez jednego żelaznego ćwieka. Więc skąd rd...we plamy na spojeniach oślizgłych desek? Terkotał, bormotał, burczał. Terkotał, bormotał, burczał. Młynarz drzemał budził się gdy posucha wodę wyssała. Wiedział któremu mnichowi gębę rozewrzeć by woda zakryła korzenie wierzb. Wpierał się barkiem zapierał nogami by kołki z trybów. Gdy ręce mdlały — głową. Ładnie mu było młynarzowi z lnianą chustą na głowie gdy przez nią krew przesiąkała czerwona. Innym ożycha na bandażach przechodzi w brąz i fiolet. U niego zawsze świeża czerwona ładnie. Dlatego był lubiany. Kiedy ustawało terkotanie-bormotanie-burczenie przychodzili chłopcy pomagać. Sami z siebie. Bo lubili młynarza i mnichy i toń pomarszczoną i żabie tęsknoty. Przychodzili z tym lubieniem w sercu i słowem na ustach. Jasio podszedł nie z tej strony i garb. Z garbem potem w życie i na to wszystko znad tego garbu patrzył. A Michał z tej strony wparł się w to żarno z której trzeba i prosty. Doszli razem do Bożej Męki na rozstajach i jeden w lewo drugi w prawo. A młyn znów swoje w oddali żaby jakby nigdy nic i sitowie zielone. Młynarz w zwierciadełku lniany bandaż z plamą w cynobrze poprawia. A w żarnach krupczatka.

Idzie Jasio po miedzach idzie po asfaltach i drogach szybkiego ruchu i myśli do czego w życiu się nada bo ten garb z daleka widoczny. Ryszarda Trzeciego mógłby grać bo równie pokraczny choć król. Quasimodo też rola dla garbusa. Gdyby Michał spotkać znów kiedy może by rolę wymyślił. Prostym łatwiej Wrócił Jaś do Bożej Męki pusto. Poszedł swoją drogą wije się. Gdy wędrował albo się do drzemki układał chodziło mu po głowie to kalectwo i ten trudny wybór. Nie pójdzie z mieczem po drogach szybkiego ruchu by wołać królestwo za konia nie zawędruje do Notre Dame nie ma dewiz ni znajomka w urzędzie Między neony wszedł kolorowe i na jednym wyczytał Quasimodo. Więc jednak...! Ruszył śladem tych liter garbatych Zawiódły dokąd chciał do teatru. Odświętnie. Cukierki w czasie przerwy i telewizyjne paluszki. I garbus na scenie. Więc jednak...! Znaleźć sens wydymania się sterczenia własnego garbu w cudzym — to wiele. Sens jego wielbłądowatości dysproporcji asymetrii. Kręgokrzyw antywkleś plecogib. Garbatość jako jakość godna oglądania. Godna przeżywania. Motor działań. Siedziba cech takich lub innych. Nie takich. Nie innych. A właśnie takich lub innych — a więc przestrzeń możliwości.

Trzeci gong przyćmił światła i obnażył scenę. Obnażył garbusa wzorcowego tego samego który już wcześniej objawił się światu tysiącem wcieleń. Każde w jakimś sensie inne. Ale w każdym tak lub inaczej wymodelowany garb. I zawsze splot wydarzeń nieodłączny od garbu. Garb — widoczny symbol ujemności ułomności braku estetyki A dodatniości zalety piękno ukryte. Inaczej niż u prostych zwykłych niegarbatych. W swojej drodze po miedzach i asfaltach Jasio unikał widoku innych garbatych. Chyba ukradkiem kiedy miał pewność że nie widzą. Ten sceniczny był po to żeby na niego patrzeć. Im więcej utkwionych oczu tym więcej szczęścia. Im wierniejszy realizm garbatości tym pełniejsza radość tworzenia. Jasio znał swój profil. Z luster ustawionych pod kątem. Uchodziły jego uwadze treści sztuki chłonął oczami atrybuty garbatości: garb sam w sobie, asymetria ramion pochyłość głowy spojrzenie spod czoła. Wszystko bez zarzutu! Podejrzenie: a jeśli on nie gra a jest garbaty? Jasio począł go obserwować z jeszcze większą uwagą i nagle w rzuconym spojrzeniu w intonacji wypowiedzi dostrzegł coś niezrozumiale przedziwnego Patrzał na zjawisko fizycznie niemożliwe a dziejące się w zasięgu jego wzroku. Ten na scenie był nim samym znanym sobie z luster ustawionych pod kątem. I Jaś byłby pozostał pod wrażeniem tej niezwykłości ale tamten wykonał jeden jedyny ruch który nie był ruchem Jasia. By spojrzeć w twarz Kanonika odgiął tułów do tyłu. Jaś tego nigdy nie robił. Korzystał z takiego zasięgu spojrzenia ku górze jaki mu dała natura (po korekcie dokonanej we młynie). Co więcej — tym nie-Jasiowym gestem wystawił twarz na łaskę reflektorów co poruszyło odłogi pamięci Jasia. Rzekomy Quasimodo — to Michał Miał za sobą całe dzieciństwo studiów nad postawą ruchami i mimiką towarzysza zabaw. To wzorowanie się na nim pochlebiało Jasiowi. Nie ma niewątpliwie garbatości doskonałej jest zbliżanie się do ideału. Za wzór bierze się jakość osiągalną. Jakością osiągalną była garbatość Jasia. Michał pragnął jej dorównać. Prawie dorównał. Michał to wielki artysta.

Po ostatniej kurtynie poszedł ku drzwiom „wstęp wzbroniony" a ten co tam stał dla porządku nawet się nie zdziwił. Może temu tylko że garbus szedł nie ze sceny a z tej strony. Długi rząd drzwi na jednych imię Michała. Szedł kulejąc z przeciwnej strony niósł garb i grymas garbatości na twarzy. Grał jeszcze. Idąc do garderoby powoli wyzwalał się z roli przeobrażał w zwykłego człowieka.

Wziął Jasia za własne odbicie w lustrze. Ale skąd lustro w tym miejscu? — To ja Jasio nie pamiętasz? Popatrz popatrz kopę lat! Jak ci tam? Ano... W tym ano zawarł całą prawdę garbatego życia. Ale udał zaraz że nie to ma na myśli. Zgrywał się na pogodnego jakby ten garb nie stanowił żadnego problemu. Michał za to był zatroskany poważny czujący jakby chciał zapewnić kolegę że proste plecy wcale nie dają szczęścia stanowią źródło dodatkowych ofiar i obowiązków. Ale też Jasio daleki był od porównań. Wypowiedział to co nosił w zanadrzu z tej strony garbu niemal od dzieciństwa — tę naturalną możność grania na scenie ról garbatych. Nie to żeby Michał robił to źle przeciwnie — znakomicie. Ale on Jasio był jak to się mówi ukierunkowany. Kto ma głos — śpiewa bardzo wysocy grają chrobrych suchotnicy — szopenów. Jeżeli dziecko gra dziecko to dobrze natomiast dorosła aktorka niskiego wzrostu w krótkiej sukience z warkoczykami to nią to. Gdyby więc garbaty grał garbatego... Michał słuchał uważnie i przyrzekł pomóc. Jaś mógłby zacząć jako dubler Michała. Ależ tak to by nawet było interesujące. Od jutra zaczynamy. Jaś nie posiadał się ze szczęścia. Chłonął oczami wnętrze garderoby i chłonął oczami dobrego starego kumpla. A ten zdjął surdut odpiął spinki i szelki i cisnął garb do kąta ze słowami no już jestem gotów możemy iść na kolację. Ale Jasio zagapił się na ten garb odrzucony i pomyślał że gdyby nawet spełniły się jego marzenia i gdyby grał garbatego to nigdy nie byłby gotów żeby nójść na kolację Więc się pożegnał z Michałem i poszedł swoją drogą szybkiego ruchu.

MODLITWA

Powiadają, mój dobry Boże, że tego jeszcze nie było, by do Ciebie przepijać napojem alkoholowym. A ja w moich pokornych myślach widzę Ciebie u początków tworzenia, jak się palnąłeś dłonią w swoje Boskie czoło i rzekłeś: „Poniosło mnie, choć czartowi przystępu nie daję i podle się obszedłem z człowiekiem, któregom stworzył na obraz i podobieństwo swoje. Skazałem go na spożywanie chleba w pocie czoła i wygnałem go z raju, pijanego czarem kobiecego ciała. A kiedy mu od tej pracy i od tej rozkoszy mdło się uczyni, to gdzie znajdzie pociechę?" I otoś Boże w dobroci swojej postawił na jego drodze kadź z zaczynem, a on Cię pojął i wymyślił destylację. I osadź mnie teraz. Piję, bo mi źle na duszy, a inni w imię Twoje wymyślili przyrząd tortur pt. „hiszpański but".

Więc z tego, com powiedział wyżej, wyciągnij wniosek, o Przedwieczny, że piję, bo mi smutno, do Ciebie piję, choć wiem, że się nie trącisz i nie znasz śpiewek poza psalmami.

Nie tego lud Twój od Ciebie oczekiwał Raczyłeś schlebiać próżności trędowatych łamałeś prawa przez siebie stworzone, gdyś zmarłym kazał brać znów swoje krzyże pomimo śmierci, klinicznej Upokorzyłeś możnych i królów, zniekształcałeś starością twarze pięknych kurtyzan a brzydkim dawałeś świętość. Mamy czas, Boże, mógłbym ci sporo spraw w ten sposób wyliczyć. Ale po co?

Stanął Ci na drodze mój sąsiad i kumpel. Nie zwróciłbyś na niego uwagi, gdyby dawał w gaz, jak ja daję, bo to rzecz zwyczajna na świecie, który stworzyłeś. Nie wiedziałbyś o jego istnieniu, gdyby jeździł na cudzych barkach do raju, jak jeżdżą masy tych, którym pobłogosławiłeś. Nie, o Boże. Nie o Twój raj chodzi To przenośnia. Nie zwróciłbyś ku niemu swojej wszechmocnej dłoni, gdyby nadużywał nazw sromotnych części ciała, gwoli psychicznego rozładowania. Ale on był cichy i rzeźbił.

Więc żeś go unicestwił.

Zależało Ci na ofierze? Po pierwsze — krwawe ofiary, jeśli wierzyć sługom Twoim, dawno wyszły z mody Byłeś na nie łasy przed naszą erą. Po drugie — jeśli to nieprawda, a pragnąłeś ofiar, to trzeba się było do mnie zwrócić, to bym Ci je dał Dwie za tę jedną. Zabrałeś — fizycznie rzecz biorąc — mizeraka. Dałbym Ci dwóch tłustych. Zabrałeś, bo zazdrościłeś cząstki Twego świętego ognia, który w nim gorzał. Dałbym Ci dwóch miernych, ale gorejących zapałem do rzeczy wszetecznych.

Nie słyszysz mnie Boże, choć przemawiam do Cie językiem biblijnym. Zresztą — cuda to rzecz niedzisiejsza. Nie przywrócisz mu życia.

Ech, Panie. Utraciłeś kontakt z masami.

TADEUSZ PAPIER

PODRÓŻE DO RODZINNEGO KRAJU

Niedawno przejrzałem swoje notatki z podróży po Polsce. Porównałem je z reportażami i powieściami, w których wykorzystałem owoce spotkań i rozmów z ludźmi. Przeszło dwadzieścia lat temu notowałem: na moim biurku leży mapa naszego województwa. Do niedawna oznaczałem na niej miejscowości, które wypadło mi odwiedzić. Od paru miesięcy przestałem znakować mapę — wkrótce trzeba by przy każdej wsi namalować jakiś rysunek. Niemniej spoglądam na te kółeczka, krzyżyki i trójkąty z uczuciem dalekim od spokojnej bezinteresowności. Rzućmy okiem na mapę. Czarne kółko przy Kłomnicach: wieś urocza, położona przy pięknej szosie, stacja kolejowa na miejscu, nowy, okazały Dom Kultury Piękność zwierzchnia omylna — powiada przysłowie — i chyba każdemu występowi (przypomnijmy, notatka pochodzi sprzed lat dwudziestu), każdej niemal prelekcji towarzyszą wyczyny „nieznanych sprawców", wyłamania drzwi itp. Czarny znaczek obok Leźnicy Małej: wspomnienie świetlicy z powybijanymi szybami, zrujnowaną sceną. Trójkąt w Jeżowie: kierownik szkoły oświadcza, że po raz pierwszy zjawił się tutaj „ktoś od literatury". Podobnie jak w Galewicach i innych wsiach. Czarne kółko w Grabowie: wspomnienie o młodej bibliotekarce, marznącej w nie opalonym pokoiku, wydającej książki, organizującej występy pisarzy, odprowadzającej prelegentów na beznadziejnie smutny rynek do przystanku PKS. Są na mojej mapie i czerwone kółeczka. W Dzierzbietowie, Smardzewie i Solcy Wielkiej chłopi wybudowali Domy Ludowe, Domy Strażaka, w których znajdują się obszerne świetlice. Można wymienić kilkanaście wsi, w których tego rodzaju obiekty są w budowie. W Piątku, Siedlcu i Daszynie doskonale prosperują amatorskie zespoły teatralne. Rozwija się praca teatralna w szeregu innych wsi, jak w Gawronkach, w Błoniu, Piekarach. Powiatowe Domy Kultury, podobne jak w Łęczycy czy Radomsku, nawiązują coraz mocniejsze kontakty z terenem.

Są wsie, z którymi mnie łączą bliższe więzy. To na przykład Konopnica, którą swojego czasu dość dokładnie sportretowałem, omawiając tamtejszy zespół teatralny. To przede wszystkim Lipce, którym poświęciłem niejeden reportaż, a przede wszystkim cykl powieściowy dedykowany tej wsi. Lipce, w których ongiś żyli i piękni „wielmoże na zagonie", jakich opisuje w „Fantastyce żywota Reymontowego" Adam Grzymała Siedlecki, ale też i tacy, którzy na konkurs Instytutu Gospodarstwa Społecznego pisali, że „zasadniczym jedzeniem u mnie to kartofle i chleb... moje gospodarstwo nie może wystarczyć nawet na wyżywienie rodziny... Jakież ja mogę mieć widoki na przyszłość?"

Znaki na mapie. Tyle podróży, wyjazdów, spotkań, rozmów. Jest to niewątpliwie bogaty materiał. Ale czy należycie wykorzystany? Mam oto przed sobą książkę „Akenfield, portret wsi angielskiej". Napisał ją Ronald Blythe. Autor urodził się w 1922 roku. Wydał szereg powieści, a za cytowaną książkę, która ukazała się w 1969 roku, zdobył nagrodę Królewskiego Towarzystwa Literatury. W r. 1980 Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza wydała tę rzecz w przekładzie Ewy Fiszer. Słowo wstępne napisał Ernest Bryll. Autor nazwał swoją książkę „dziwną podróżą do rodzinnego kraju".

Pomysł prosty — siąść i zacząć robić monografię swojej wsi, pytać ludzi starych i młodych o ich życie, o to, jak się czują wśród zmienionej rzeczywistości. Opisać, jak biegły, a jak teraz biegną strumienie. Opisać, co stało się z domami, jakie są te nowe. Pytać, notować. Nic więcej. Niby proste".

W rozdziale „Służba starej daty" czytamy: „Miałem czternaście lat, jak zacząłem pracować u jaśnie pana i pracowałem tam czternaście lat. Było siedmiu ogrodników i diabli wiedzą ile służby... Nikt nie powinien był nas dostrzec z okien domu; było to surowo zabronione. I jeżeli ktoś siedział na tarasie albo na trawniku, a ty pchałeś taczkę pełną zielska, to czasem musiałeś ją pchać dobrą milę naokoło, żeby tylko nikt cię nie zobaczył. Kiedy ktoś cię zobaczył, zawsze ci to mówił i dostawałeś ostrzeżenie, a kiedy odchodziłeś, jaśnie pani wołała za tobą: „Wymachuj rękami". To było okropne... Jaśnie pani jeździła po parku w fotelu na kółkach poruszanym motorkiem i raczej by nas przejechała, niż ostrzegła, żeby zejść jej z drogi. Nie wolno było się na nią patrzeć i ona nigdy nie zwracała na nas uwagi. To samo w domu. Jeśli jakaś służąca znalazła się na drodze jaśnie państwa, musiała odwracać się do ściany i stać bez ruchu, póki nie przeszli. Nie wydaje mi się, aby żywili wobec swej służby jakieś uczucia. Byliśmy w domu, bo potrzebowali nas jak wody z kranu. Musieliśmy stale nadstawiać ucha. Kiedy z którejś alejki dobiegał jakiś głos, należało omijać ją z daleka, bo inaczej się człowiek nasłuchał: „Czyś ty ogłuchł? Na przyszłość bądź uprzejmy uważać!" — a kiedy pozwalali ci odejść, jaśnie pani powtarzała to swoje wieczne: „Wymachuj rękami!"

„Ludziom ze wsi wstęp do ogrodów był wzbroniony. Najsurowiej wzbroniony. Dostawcy przychodzili do kuchennego wejścia i nigdy nie oglądali parku. Wokół pałacu trzeba było pracować potajemnie. Koło siódmej rano wykradaliśmy się na palcach na taras, zamiataliśmy liście, porządkowaliśmy go, wszystko bezszelestnie, żeby nikt w żadnej sypialni niczego nie usłyszał Na tym polega luksus: tym, co go mają, należą się absolutne względy. Otaczaliśmy ich tymi względami, a oni je przyjmowali, wcale ich nie zauważając. Na tym polega luksus.

Oto fragment jednej z opowieści, które odsłaniają daleką przeszłość wioski. Książkę należy przeczytać. Czytelnik znajdzie w niej wiele ciekawych myśli W naszej literaturze znajdziemy też książki, które do podobnych prób zachęcają. Zachęcają też do sumiennego wykorzystywania własnych podróży i rozmów z ludźmi.

ARCHEOLOGIA

ZŁOTY JUBILEUSZ MUZEUM

Fragment wystawy jubileuszowej

Foto: W. Pohorecki

Złoty jubileusz Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego w Łodzi jest faktem i nie pora teraz na rozważania, czy dla tego typu szacownej placówki jest to wiek dojrzały czy zgoła młodzieńczy. Rodowici łodzianie pamiętają zapewne, jak w styczniu 1931 roku, w budynku przy ul. Piotrkowskiej 91, otworzono Miejskie Muzeum Etnograficzne. Od tej pory styczeń 1931 uważany jest za oficjalny początek muzealnictwa archeologicznego i etnograficznego w Łodzi. Zaczątek Muzeum stanowiły nieliczne zabytki przechowywane w kolekcjach osób prywatnych. Kierownikiem zaś nowo powstałego Muzeum został warszawiak, etnograf, mgr Jan Manugiewicz, wielki propagator muzealnictwa archeologicznego i etnograficznego.

W dziedzinie etnografii Muzeum miało obejmować swą działalnością województwo łódzkie i kieleckie, a także lubelskie i wołyńskie. Planowano także, nie bez podstawy, gdyż do Muzeum zaczęły trafiać zabytki etnograficzne z Azji, Afryki i Ameryki Południowej, dział kultur pozaeuropejskich. Pomyślano o działalności wydawniczej. W 1932 r. ukazał się pierwszy numer czasopisma muzealnego „Wiadomości Ludoznawcze".

Jednocześnie prowadzono badania archeologiczne na zlecenie Muzeum, m. in. w Tumie i w Sierpowie. W dwa lata później Muzeum przeniosło się do nowej siedziby przy ul. Piotrkowskiej 104, a zbiory muzealne w 1937 roku osiągnęły już niebagatelną liczbę 14 tysięcy zabytków.

W okresie okupacji niemieckiej Muzeum funkcjonowało pod zarządem niemieckich archeologów, którzy działalność placówki podporządkowali nadrzędnemu celowi hitlerowskiej propagandy — udokumentowaniu rzekomo germańskiego charakteru kultur pradziejowych. W nadziei na zdobycie odpowiednich materiałów przystąpiono nawet do prac wykopaliskowych w okolicach Łodzi. Zabytki etnografii polskiej zostały zniszczone lub usunięte z sal wystawowych. Szczególne straty zadano kolekcji zabytków pozaeuropejskich, które sprzedano niemieckim muzeom i instytutom. Po wojnie udało się odzyskać jedynie 300 eksponatów.

Po wyzwoleniu, w budynku przy pl. Wolności, w którym do dziś mieści się Muzeum, przystąpiono natychmiast do pracy. Dodajmy, że pierwsza wystawa archeologiczna w Polsce Ludowej została otwarta właśnie w Łodzi, 27 maja 1945 roku. Do 1956 roku działały dwa muzea: Miejskie Muzeum Prehistoryczne i Miejskie Muzeum Etnograficzne, które w 1956 roku połączono w Muzeum Archeologiczne i Etnograficzne. Dyrektorem połączonej placówki do 1979 roku był wybitny archeolog, prof. Konrad Jażdżewski, który po przejściu na emeryturę przekazał Muzeum w ręce swego ucznia, dr Andrzeja Mikołajczyka. Zbiory Muzeum sięgają dziś liczby 153.473 zabytków, księgozbiór liczy 26.767 woluminów, a Muzeum zatrudnia 81 pracowników, w tym 37 naukowych. Tak znaczne powiększenie stanu zbiorów było możliwe przede wszystkim dzięki wzmożonej aktywności naukowej archeologów, etnografów i numizmatyków. Wykopaliska oraz tzw. badania ratownicze koncentrowały się na terenie Polski środkowej i na Kujawach, gdzie m. in., z inicjatywy Muzeum, stworzono dwa rezerwaty archeologiczne: w Wietrzychowicach i w Sarnowie. Etnografowie, z kolei, oprócz Polski środkowej penetrowali Podlasie, a od niedawna zajęli się badaniami dawnej kultury robotniczej. Nie można też pominąć zbiorów numizmatycznych, które zawierają najokazalszy w kraju zestaw ponad 100 skarbów monet różnych epok. W dziale tym znajduje się również najbardziej reprezentatywna w Polsce kolekcja zagranicznych i polskich pieniędzy papierowych od XIV wieku włącznie.

Dumą Muzeum jest Dział Konserwacji i Badań nad Technologią Zabytków. W 1968 roku konserwatorzy muzealni jako pierwsi w kraju przystąpili do datowania bezwzględnego zabytków metodą węgla radioaktywnego C^{14}. Prace te prowadzą również dla klientów z kraju i zagranicy.

Blisko 20 tysięcy widzów, przeszło 3 tysiące seansów filmowych, obozy archeologiczne i etnograficzne dla młodzieży, wystawy w zakładach pracy, wystawy za granicą oraz konferencje naukowe, to w największym skrócie zasygnalizowanie różnorodnych form pracy Muzeum. Z okazji jubileuszu, w gmachu przy pl. Wolności 14, czynna jest wystawa pt. „50 lat w służbie nauki i kultury". Ilustruje ona zarówno dzieje Muzeum, jak i rozwój wystawiennictwa. Gmach muzealny ma swoich stałych, zaprzyjaźnionych sympatyków. Nie omijają oni żadnej imprezy. Razem z nimi życzymy więc obchodzącym swój złoty jubileusz muzealnikom 100 lat! Niechaj służą nauce i kulturze jak najlepiej.

M. G.

PLASTYKA

GRAFIKA ALBINA BRUNOWSKY'EGO

W Galerii Sztuki (Wólczańska 31) Biuro Wystaw Artystycznych prezentuje twórczość Słowaka — Albina Brunowsky'ego, laureata nagrody Grand Prix ubiegłorocznego VIII Międzynarodowego Biennale Grafiki w Krakowie.

Albin Brunowsky jest docentem na Wydziale Grafiki i Ilustracji Książkowej w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Bratysławie. Grafika (uprawia także malarstwo i ilustrację książkową), przyniosła mu największe uznanie. Jego prace nagradzane były wielokrotnie na licznych konkursach międzynarodowych.

Najpiękniejsze ze zgromadzonych na ekspozycji grafik pochodzą z lat siedemdziesiątych i z 1980 roku. Dzięki łączeniom kilku technik: akwaforty, suchej igły, mezzotinty, wydobył Brunowsky z materii artystycznej niecodzienne piękno formy i siły jej wyrazu. Występują tu obok siebie wyrazista kreska, zróżnicowana w walorze i intensywności plama, ekspresywna linia i kształt.

Wcześniejsze grafiki różnią się od późniejszych w dość znacznym stopniu. Z amorficznych, bądź abstrakcyjnych form, których nie da się zidentyfikować z wyglądami przedmiotów realnych, konkretnie istniejących, tworzy Brunowsky struktury dynamiczne i żywiołowe, rozrastające się jak biologiczne tkanki. W struktury te wpisane zostały postacie ludzkie, ludzkie twarze. Człowiek wyłania się ze świata natury jako jego integralna część, nosząca w sobie znamiona tak jej bujności i żywotności jak i ograniczenia, rozpadu, entropii.

Prace późniejsze zachowują wizję jedności, zależności świata natury i człowieka, ale równocześnie wykraczają poza ten krąg, bowiem Brunowsky w tematyczny zakres sztuki włącza mit. Natura i kultura nie są sobie przeciwstawne, uzupełniają się. Mit występuje jako struktura będąca interpretacją cykliczności zjawisk natury, wykładnią jej tajemnic i dychotemii, tkwiących w niej źródeł dobra i zła.

Artysta wykorzystując mit, przetwarza go, wzbogaca, zachowując jednocześnie jego tradycyjne, kulturowe znaczenie podstawowe („Wygnanie z raju" — 1971, „Ewa prima Pandora" — 1979, „Orfeusz i Eurydyka" — cykl z 1980 r.).

Procesowi poszerzania obszaru treści i znaczeń sztuki towarzyszy równolegle zmiana sposobów obrazowania. Twórca rezygnuje z form bliskich abstrakcji, amorficznych, na rzecz form realistycznych o maksymalnym ładunki ekspresji.

Formułą sztuki współczesnej najbardziej odpowiadającą poszukiwaniom interpretacji świata i ludzkiej w nim egzystencji stał się realizm metaforyczny.

Twórczość Albina Brunowsky'ego nasycona jest metaforyką, zawiera też w sobie obraz przemian, jakie dokonują się w sztuce.

MARIA KĘPIŃSKA

Albin Brunowsky: „Feveris"

WSPOMNIENIA

W HOŁDZIE „CÓRCE PROMETEUSZA"

25 lutego cała Ukraina — a wraz z nią wszystkie republiki Związku Radzieckiego — obchodziła stodziesięciolecie urodzin jednej z największych swoich córek — Łesi Ukrainki. Nie ulega wątpliwości, że uroczystości te przekroczą granice Kraju Rad, że dołączą się do nich miliony ludzi nie tylko na naszym euroazjatyckim kontynencie, lecz także na antypodach, zwłaszcza w Ameryce Północnej, gdzie działają silne skupiska ukraińskie.

W swoim czasie — a było to, jak nietrudno obliczyć, dziesięć lat temu — miałem zaszczyt uczestniczyć w obchodach „najokrąglejszego", że tak powiem, jubileuszu tej znakomitej poetki i wybitnej działaczki — w sesji naukowej Polskiej Akademii Nauk, poświęconej stuleciu jej urodzin.

I oto leży przede mną gazeta ukraińska sprzed dziesięciu lat, w której wydrukowano omówienie sesji. Wspomniano tam i o mnie. Wyraziłem — jak pisze sprawozdawca — żal z powodu tego, że twórczość Łesi „jest w Polsce mało znana", a przecież tak bardzo „zasługuje na to, aby ją tłumaczyć, wydawać, zapoznawać z nią najszersze koła społeczeństwa".

Pozwalam sobie zacytować samego siebie po to jedynie, aby uwyraźnić przełom, jaki nastąpił między rokiem 1971 a 1981. Bowiem na kilka miesięcy przed tegorocznym jubileuszem Łarysy Kosacz-Kwitko, która pod pseudonimem Łesi Ukrainki zajęła jedno z pierwszych miejsc w historii kultury, w dziejach literatury swojego narodu — powstała realna szansa zapoznania z jej twórczością „najszerszych kół społeczeństwa" polskiego. Ową szansę stwarza pierwszy w naszym kraju wybór utworów poetki opracowany przez Tadeusza Chróścielewskiego — który jest również autorem wstępu, komentarzy oraz (wraz z dużą grupą doświadczonych tłumaczy) zamieszczonych tam przekładów.

Tytuł książki — *Siedem strun* (Lublin 1980) — nawiązuje do nazwy jednego z pierwszych cyklów poetyckich Łesi Ukrainki. Biorąc ów tytuł — pod którym poetka rozumie siedem podstawowych dźwięków gamy muzycznej — jako swoisty „znak wywoławczy" całego tomu, Chróścielewski nadaje mu nowy sens: chodzi o podkreślenie wielostronności autorki, „nowatorskich w swej epoce i zjawiskowych liryków, poematów, utworów scenicznych, satyr, esejów, wystąpień publicystycznych i przekładów". Mowa więc o siedmiu dziedzinach pisarstwa — zgodnie z tym założeniem przedmowa do książki nosi tytuł *Siedem strun Łesi Ukrainki*.

Nie zamierzam dokładnie relacjonować wydania, które doczekało się już wielu omówień, zarówno w prasie łódzkiej, jak i ogólnopolskiej (że wymienię choćby artykuł Jerzego Wilmańskiego w „Głosie Robotniczym" z 18 października 1980 r. i obszerną recenzję docenta Mikołaja Kuplowskiego w nr 40 „Życia Literackiego" z tegoż roku). Dokonam tylko szkicowej charakterystyki zawartości książki, pozostawiając czytelnikom przyjemność jej zgłębienia. Nie wdając się w ocenę kunsztu tłumaczy pragnę też przedstawić pewne nowe możliwości translatorskie, jakie otwierają niektóre z zamieszczonych tam przekładów.

Rozpocznijmy od przedmowy, w której Chróścielewski ukazuje twórczość poetki na tle jej krótkiego i tragicznego życia, uwikłanego w najistotniejsze problemy kraju i epoki. Czyni to w sposób wnikliwy i nieszablonowy, akcentując własny punkt widzenia i nie stroniąc od dyskusji — należną uwagę poświęca przy tym europejskim parantelom Łesi, zwłaszcza mocnym i autentycznym powiązaniom z kulturą polską. Trochę mi brak tylko choćby paru zdań o niewątpliwym powinowactwie twórczości i osobowości tej zaprawdę „zdumiewająco silnej kobiety" z poezją i życiem Henryka Heinego. Drobna wzmianka o tym, że przekładała autora *Baśni zimowej* — to jednak za mało. Łarysę Kosacz nazywano „Heinem w spódnicy" i w tym półżartobliwym określeniu zawarto sporo prawdy. Sądzić by można, że tytuł pierwszego jej tomiku poetyckiego *Na skrzydłach pieśni* nawiązuje do incipitu jednego z wierszy Heinowskiego cyklu *Intermezzo liryczne* („Auf Flügeln des Gesanges"). Słusznie dopatruje się Chróścielewski koneksji pomiędzy pewnym typem poezji Łesi Ukrainki a — proszę zwrócić uwagę na tytuł! — *Na skrzydłach pieśni* wczesnej Konopnickiej. Warto by więc wspomnieć także o tak istotnych dla poetki ukraińskiej parantelach z wielkim niemieckim lirykiem — i równie wielkim ironistą.

Ale są to marginesowe uwagi admiratora Henryka Heinego, nie podważające wartości przedmowy, która w sposób esejstycznie swobodny i przekonywający prowadzi do konkluzji, że wielkość „poetki zabużańskiej" zasadza się na oryginalnym połączeniu dwóch pierwiastków: ukraińskiego i europejskiego.

Twórczość Łesi Ukrainki przedstawiona została w książce utworami poetyckimi, jak również okruchami dramaturgii, prozy i publicystyki. Czy jest to wybór reprezentatywny? Zapewne tak, jeśli chodzi o lirykę — ściślej: o wiersze niewielkie objętościowo. Trudno to powiedzieć o innych rodzajach jej działalności literackiej, dlatego piszę o „okruchach". Lecz utrzymanie takich proporcji było decyzją optymalną, ponieważ w szczupłych ramach niewielkiej książki nie można w miarę wyczerpująco zaprezentować dramaturgii, nowelistyki czy twórczości publicystycznej. Istotne jest to, że czytelnik polski otrzymał po raz pierwszy pewien całościowy obraz pisarstwa tej zadziwiającej kobiety, którą po dzień dzisiejszy — nieco patetycznie — nazywają na Ukrainie „córką Prometeusza", ale także po prostu, pieszczotliwie — Łesią. Otrzymaliśmy wizerunek poetki, której twórczość jest żywa w kulturze i literaturze ukraińskiej.

Pełnia i prawdziwość tego wizerunku zależy oczywiście nie tylko od trafności wyboru dzieł Łesi, lecz także od kunsztu translatorskiego przyswajających je tłumaczy. Jest to zagadnienie odrębne — delikatne i wymagające wnikliwej analizy. Dopiero po jej dokonaniu możliwe będzie rzetelne ustosunkowanie się do przekładów. Ale jedno można stwierdzić już teraz: niektóre z nich ułatwią tłumaczenie utworów pisarzy ukraińskich, którzy w ten czy inny sposób nawiązują do twórczości największej swojej poetki. A imię ich legion, ponieważ — powtarzam — Łesia obecna jest w całej literaturze ukraińskiej, również w najnowszej.

Na początku szkicu wspomniałem o sesji naukowej poświęconej stuleciu urodzin „córki Prometeusza". W swoim wystąpieniu na sesji zwróciłem m. in. uwagę i na to, że brak polskich przekładów Łesi Ukrainki, brak znajomości jej poezji wśród czytelników naszego kraju powoduje nieprzezwyciężalne niemal trudności przy tłumaczeniu dzieł wielu innych autorów. Jako przykład podałem wtedy wiersz znanego poety Płatona Worońka zatytułowany (tu i dalej cytuję po ukraińsku) *„Ja toj, szczo hrebli rwaw..."*. Występują tam jeszcze *Lisowyk* i *Mawka*. Rzecz w tym, że te trzy baśniowe postacie (*„Toj, szczo hrebli rwe"*, *Lisowyk* i *Mawka*) odgrywają ważną rolę w niezmiernie popularnym na Ukrainie dramacie Łesi *Lisowa pisnia* (*Pieśń leśna*). Tak więc aluzyjność, dwuwarstwowość wiersza Worońki — który jako dowódca oddziału partyzanckiego i miner rzeczywiście „groble burzył" podczas wojny — jest dla Ukraińca zupełnie przejrzysta. Dla Ukraińca — ale nie dla Polaka. Czy można, czy warto w takiej sytuacji tłumaczyć na polski znakomitą skądinąd poezję...?

Dziesięć lat temu, kiedy mówiłem te słowa, wiersz Worońka był w istocie nieprzetłumaczalny. Ale teraz, po wyjściu *Siedmiu strun*, sytuacja zmieniła się radykalnie. Bo w książce ukazał się przekład fragmentu *Pieśni leśnej*. Napotykamy w nim i *Miawkę* (*Mawka*) i *Leśnobożca* (*Lisowyk*) i — *„Tego Który Groble Burzy"* (*„Toj, szczo hrebli rwe"*). Potencjalny tłumacz ukraińskiego poety-partyzanta ma przetartą — jeśli nie drogę, to przynajmniej ścieżkę, która ułatwi dotarcie do celu.

Niejedną taką ścieżkę toruje omawiana książka do nowych osiągnięć tłumaczy, niejedną — do serc czytelników. *Siedem strun* Łesi Ukrainki w opracowaniu Tadeusza Chróścielewskiego to piękny hołd złożony „córce Prometeusza" w przeddzień jej jubileuszu.

ZYGMUNT GROSBART

WOJTEK

21 lutego 1981 roku zmarł niespodziewanie wybitny twórca filmowy — Wojciech Wiszniewski. W ciągu ostatnich dziesięciu lat zrealizował szereg filmów krótkich, takich jak: *A ona po nim płakała, Jutro, Szafo — przemów do mnie, O człowieku, który wykonał 552 proc. normy, Wanda Gościmińska — włókniarka, Elementarz, Sztygar na zagrodzie, Stolarz* oraz widowisko telewizyjne pt. *Pałacz zwłok*. Kontakt jego twórczości z widownią był — z powodu decyzji cenzury — w większości wypadków niemożliwy.

Odszedł w pełni nie wykorzystanych dotąd sił twórczych.

Kiedy myślę o Wojtku Wiszniewskim, przypominam sobie flagę, którą 22 lipca 1980 roku zawiesił, tak, jak zawiesili je wszyscy mieszkańcy jego warszawskiego domu, ale której — jako jedyny — nie zdjął po zakończeniu święta. Nie traktował tego jak gestu, żartowaliśmy z tego, ale dziś i w takich drobiazgach widzę nieuchronność, znak Jego losu i emanację Jego niezwykłej osobowości. Od tamtej chwili przyjeżdżając do Niego nie miałem już żadnych trudności z odnalezieniem wzrokiem na siódmym piętrze prostokąta Jego okna. Okna pokoiku, z którego odszedł od nas na zawsze.

Odszedł w chwili wyjątkowej. W chwili, w której po raz pierwszy od lat, od początku, zanosiło się w Jego życiu na względną stabilizację — na to, że widzowie obejrzą wreszcie Jego filmy, a Jego talent ujawni się bez zewnętrznych ograniczeń. Odszedł tuż przed realizacją swojego debiutu fabularnego — „Porwania króla". Miał to być film poświęcony narodowemu zrywowi konfederacji barskiej, polskim uwikłaniom historycznym i — jak wszystkie Jego filmy — nędzy i wielkości ludzi mieszkających nad Wisłą. Był to film przygotowywany od lat i od lat — bynajmniej nie z Jego winy — spóźniony.

Scenariusz osnuty wokół nieudanej próby porwania przez konfederatów osoby królewskiej kończy się, kiedy już po rozbiorze Polski, którego pretekstem była rzekomo panująca tu anarchia (a więc i fakt porwania) spotykają się na królewskie zaproszenie wszystkie osoby dramatu, by świętować w samooszukaniu, w atmosferze fałszywej zgody narodowej i przy dźwiękach fałszywej muzyki.

„Wojewoda Ogiński podniósł pałeczkę dyrygenta. Na podium dla orkiestry zasiedli goście i wyborni muzykanci zarazem: Karol Radziwiłł z piszczałką, Stanisław August przy szpinecie, Szczęsny Potocki ze skrzypcami, marszałek Lubomirski z cymbałami oraz Ryx z gongiem.

Wszyscy pilnie wpatrywali się w Ogińskiego. Ten wreszcie opuścił pałeczkę. Zabrzmiały rozlewne i przejmujące pierwsze takty jego poloneza. Melodia wznosi się, potężnieje. Jej tony przenikają wszędzie.

Zastygli nad kartami trzej dostojni goście z piętra pałacu.

Stanęli w półkrokach, półgestach balowi goście z apartamentów parteru.

Nie donieśli dymiących kęsów do ust biesiadnicy z piwnic. Jeden Kuźma czarowi się nie poddał.

Wybiegł z piwnicy na podwórze, gdzie zamarła w czynnościach dworska służba. Nawet zwierzęta wydawały się być wykute z kamienia.

Oszalały z przerażenia dopadł do stojącej w dziedzińcu dzwonnicy i z całych sił za sznur ciągnąć począł. Rozkołysał się dzwon szeroko, ale dźwięku nie wydał."

Ile razy rozmawialiśmy o tym finale, tyle razy znów widziałem flagę w Jego oknie, zapomnianą przez wszystkich, także i Wojtka, a obecną — jak gest Kuźmy.

Wojtek bowiem świętował to, co było mu drogie, nie według kalendarza rocznic, ale co dzień. Świętował to swoimi filmami — tymi, które powstały i tymi, które powstać nie mogły. Nie poddawał się czarowi oficjalnej biesiady, nie uczestniczył w czwartkowych obiadach, nie był artystą dworu. Milczący dzwon, którego serce krępowało mocno wielu ludzi. Dziś śpią chyba spokojnie.

Był czas, kiedy nawet przysłowiowy w środowisku upór Wojtka, zwanego przez przyjaciół „Szajbusem", ten upór, za który otrzymał nagrodę Koła Młodych Stowarzyszenia Filmowców Polskich „WEKTOR 78", z motywacją: „za konsekwentną postawę twórczą", nie wystarczył, by przełamać bariery postawione przez mecenat. Wojtek był jednak nie tylko filmowcem. Był po prostu artystą. Wtedy powstawały więc leżące po dziś dzień w szufladach scenariusze filmów, których nie będzie. Wtedy też Wojtek, opętany idée fixe debiutu dla młodych, oddawał swój czas i energię środowisku. Kierował Kołem Młodych SFP. W czasie Jego kadencji i dzięki Jego wysiłkom powstało Studio Młodych TVP im. Andrzeja Munka, którego szefem programowym został tuż przed śmiercią. Koledzy debiutowali. Wojtek czekał, karany za artystyczną niesubordynację, za ujawnianie w filmach, że nie wszyscy są zadowoleni; Jego „Elementarz" spoczywał w archiwum Wytwórni Filmów Oświatowych pokazywany tylko po uzyskaniu specjalnego jednorazowego zezwolenia ministerstwa.

To w tym właśnie filmie — najważniejszym moim zdaniem filmie krótkim schyłku lat siedemdziesiątych — w sposób syntetyczny, wykreowany, a tak wiarygodny, pokazywał nam Wojtek społeczeństwo ludzi kierowanych, wyuczonych narzuconego im elementarza. Pokazywał starców patrzących na nas zmęczonymi oczami, ludzi o sprymitywizowanych reakcjach, umiejących jedynie na komendę skandować kolejne litery abecadła. Pokazywał też dzieci recytujące posłusznie wiersz Bełzy „Kto ty jesteś? — Polak mały" w odpowiedzi na pytania starszych. Kiedy z ekranu pada pytanie ostatnie, zadane przez prezydium zebrania młodzieżowego, pytanie: „A w co wierzysz?" — dzieci odwracają się w milczeniu i niknąc, hen u kresu zielonej, wiejskiej, wierzbowej alei.

„Elementarz" wywołał nie tylko opór władzy. Oburzył także ludzi nie dostrzegających, że słów patriotycznego wiersza Bełzy użył Wojtek dla obrony tkwiących w nim wartości, nie rozumiejących, że to film o społeczeństwie zagrożonym utratą swej tradycji.

Był to w ostatnich latach jedyny film dokumentalny, a widziałem niejeden, który sprawił, że przestałem kontrolować swe emocje. I od tej chwili wiedziałem, że moje spotkanie z Wojtkiem będzie koniecznością.

* * *

Jeżeli umiera ktoś naznaczony darem niezwykłego, nieopanowanego talentu i umiera mając 34 lata, zwykliśmy mówić o przypadku, o niesprawiedliwości losu.

Dziś, kiedy odszedł od nas Wojtek Wiszniewski, boję się tej łatwości, tej zgody na zrządzenie przypadku. Domagam się wyjaśnienia, szukam w tym fakcie przynajmniej częściowej konieczności. Widzę ją w świecie, jaki Wojtek sam wokół siebie budował. Był to świat permanentnej przemiany, pościgu i gry.

Jego współpracownicy z trudem nadążali za ewolucją pomysłów.

Jego plan dnia nigdy nie mógł być zrealizowany do końca.

Jego życie było grą. Grą podporządkowaną wartościom, którymi żył, a których nie chcę tu przytaczać gołosłownie, bo nie można ich oddzielić od Jego filmów. Czasami gra ta przekraczała potrzeby wynikające z Jego pracy: grał walcząc o los swoich filmów, grał dążąc z powodzeniem w każdej sytuacji do przywództwa i grał namawiając swoich przyjaciół do kupna drobiazgów i książek, które uważał za wspaniałe i niezbędne, a które im nie były do niczego potrzebne. I mało kto mu się nie poddawał, bo Wojtek Wiszniewski był człowiekiem, który — kiedy go poznawaliśmy bliżej — zmieniał nasze losy.

W życiu Wojtka tkwiła konieczność. Chciał jak najszybciej rozegrać swoją partię. Aby żyć normalnie, aby pracować, musiał słyszeć w swoich uszach łoskot młyńskich kamieni. Sam wprawiał je w ruch. Aż wreszcie kamienie te znalazły się zbyt blisko Jego głowy.

Kiedy latem ubiegłego roku byliśmy w trakcie przygotowań do zdjęć „Porwania króla", usłyszałem od Wojtka anegdotę, która znalazła miejsce w niezrealizowanym scenariuszu o Tomaszu Teodorze Jeżu. Anegdotę, którą dziś, wspominając tego mądrego i szalonego człowieka widzę tak, jakby była jednym z tych ukrytych znaków Jego losu. Gdy kondukt pogrzebowy zmarłego na cholerę Adama Mickiewicza posuwał się ulicami wymarłego Konstantynopola mijając sklepiki i stragany, z jednego z nich wyłonił się sturczony Polak w fezie i rozpoznając rodaków zawołał:

— *A kogóż to chowacie bracia?*

— *Mickiewicza chowamy* — odkrzyknięto z pochodu.

— *Mickiewicza...? Mickiewicza! Tego, co w Paryżu przy Rue Saint Mathieu miał sklep z rybami* — rozpromienił się sklepikarz.

Ale kondukt był już daleko.

Ta opowieść w tak oczywisty sposób pochodziła ze świata wyobraźni Wojtka i ze świata Jego własnych doświadczeń, że dziś, kiedy Jego nekrolog ukazuje się w głównym wydaniu Dziennika TVP i rozważa się ideę nagrody Jego imienia, przyznaje pośmiertne odznaczenia i kieruje Jego niechciany dotąd film na prestiżowy festiwal w Oberhausen, myśl o chwili, kiedy mi to opowiedział, uparcie wraca.

Ta myśl wraca. Mam wtedy łzy w oczach. I nie chcę już nawet zadawać pytania — dlaczego trzeba było strajku w Stoczni imienia Lenina i śmierci Wojciecha Wiszniewskiego, reżysera, byśmy mogli poznać Jego filmy i w niemym, bo bezradnym przerażeniu zrozumieć, że zostało po Nim w Polsce miejsce, którego nikt nie będzie umiał i mógł wypełnić.

Odszedł od nas człowiek, którego nie wolno zapomnieć.

PIOTR MIKUCKI

Na planie „Palacza zwłok" *Foto: W. Król*

W MIEŚCIE BERGMANA

„Szepty i krzyki", „Sceny z życia małżeńskiego" to istne oceany ludzkiej rozpaczy, w których ten wielki spadkobierca Strindberga coraz bardziej precyzyjnie sondował podziemia natury człowieka.

Moja podróż do Sztokholmu była spełnieniem pragnienia, które od dawna w sobie piastowałem. Na jego dnie leżały w uśpieniu zapamiętane z dzieciństwa krajobrazy „Cudownej podróży" Selmy Lagerlöf — które ożyły ze zdwojoną siłą, kiedy w okienku samolotu pojawiło się postrzępione wybrzeże Szwecji — wizerunki niby groźnych, ale zarazem jakby dobrodusznych rajtarów z „Potopu" laureata Nagrody Nobla, wreszcie filmy oglądane na progu młodości: słoneczny obraz Mattsona „Ona tańczyła jedno lato" niezapomniana „Miłość Elwiry Madigan" Widerberga, nostalgiczne „Wakacje z Moniką" Bergmana. Obrazy pogodnej radości życia zmąconej cieniem egzystencjonalnego smutku. Potem przyszły inne filmy Bergmana, które ten ton pogłębiły. „Milczenie", „Persona",

Na wrażenia wyniesione z mroków projekcyjnej sali nakładały się publicystyczne relacje — że bezprzykładny dorobyt, ale wieje chłodem i nudą, że demokracja i porno, że spokój i stabilizacja, ale roi się od samobójców, etc. W tej niejasnej magnie wspomnień, stereotypów, doniesień i wyobrażeń majaczył kraj tajemniczy, choć geograficznie bliski, w którym ludzie mówią urzekająco śpiewnym językiem. Ten kraj, w którym od dwustu lat nie było wojny, gdzie czas historii miarowo spływa kroplą za kroplą musi fascynować Polaka. Jak daleko stąd, jak blisko... Przeciwieństwa się stykają, zwłaszcza teraz, kiedy wirujemy w romantycznym kręgu naszych „przeklętych problemów", w desperackiej szamotaninie sprzecznych racji i interesów, w kolejnym starciu idealistycznego uniesienia i cynicznego pragmatyzmu, bo inaczej żyć i myśleć nie potrafimy. Z tym garbem polskiego kompleksu włóczyłem się po ulicach Sztokholmu, sprawdzając swój prywatny szwedzki idiom, z którym tu przyjechałem.

Pierwsze, najbardziej sugestywne wrażenie: na każdym kroku klinicznа sterylna, nieomal namacalna czystość. Wszystko nieprawdopodobnie lśni i błyszczy. W wielkim magazynie handlowym Ahlensa, w którym przewalają się tysiące ludzi mam ochotę na nieskazitelnie białej, plastykowej podłodze przygotować sobie śniadanie, tym bardziej, że pod ręką na stoisku leży polska szynka. Ale w tej metodzie weszę szaleństwo, bo w tej perfekcji musi być skaza, jeśli stoi za tym człowiek. Ta czystość zaczyna mnie drażnić jak chorobliwy, niewidzialny nalot i tę irytację rozładowuje nasuwające się skojarzenie: czytałem kiedyś o psychicznej dewiacji, która polega na obsesyjnie częstym myciu rąk.

Przyglądam się ludziom. Szwedzi rozpuszczają się nieco w potopie cudzoziemszczyzny, ale nietrudno jest zidentyfikować całą serię szacownych Svenssonów, zwłaszcza w emerytalnym wieku. Schludnie odziane pary staruszków ludzaco podobne jedna do drugiej, drepcą pod murami domów przesuwając się jak porcelanowe figurynki w rokokowej pozytywce, cicho, spokojnie nie wadząc nikomu. Wracają do swoich pustych domów z twarzami martwymi i nieobecnymi. Bowiem ulica — szczególnie po zapadnięciu zmroku — należy do młodzieży. A właściwie do dzieci, ponieważ granica pomiędzy dzieciństwem a młodością uległa tutaj dziwnemu zatarciu. Późnym wieczorem pojawiają się hałaśliwe roje 10-letnich nastolatków, wśród których czuję się jak własny wuj, absolwentki szkoły podstawowej które swoje wiedzą. Nawołują się, przekrzykują i śmieca wokół siebie, ich królestwem jest metro, które po weekendzie w niedzielny wieczór przypomina stajnię Augiasza. Nudzą się. „Dzieci domagają się kawiarni dla siebie, bo nie mają dokąd wyjść z domu. Ja w ich wieku nie miałam takich problemów" — tłumaczy mi z oburzeniem zamieszkała tu rodaczka. Od kogo innego słyszę, że porządny Szwed kładzie się spać o godzinie dziewiątej że ich też to czeka. Może tak, może nie. U jeszcze innego rozmówcy, jowialnego sybaryty moja relacja o Polsce wywołuje niepokój. „W całej Europie młodzież znowu zaczyna się ruszać, nie wiadomo co z tego wyniknie" — mówi, jakby pamiętając o tym, że ci młodzi wyznacza mu wysokość emerytury.

Na eleganckim, po mieszczańsku zasobnym i solidnym prospekcie Kungsgatan skręcam w bok i po kilkudziesięciu metrach orientuję się w dziwnej zmianie miejskiego pejzażu. Wąskie uliczki, odrapane i zaniedbane domy, wiele z nich straszy pustymi oknami, nieliczni przechodnie i sporo zaparkowanych samochodów. Tu i ówdzie mrugają czerwone neony podejrzanych hotelików. Trafiłem do jednego z zaułków „den svenska synden", czyli szwedzkiego grzechu, który tutaj przyczaił się w okolicach potężnego masywu kościoła św. Klary. Staję przed jaskrawo oświetloną wystawą jednego z sex-shopów i wiedziony męskim instynktem oraz poznawczą pasją humanisty („Nic co ludzkie...") wstępuję w przedpiekle rozpusty. Na łagodny dźwięk dzwonka u drzwi wejściowych zza kotary wysuwa się starsza, siwa pani w okularach ze złoconymi oprawkami i o życzliwym spojrzeniu, na której widok — kojarzący mi się raczej z „Veritasem" — potykam się z wrażenia na schodach. W sklepie zastaję kilku amatorów, którzy z uwagą przeglądają kolejne wydawnictwa, wymieniają spostrzeżenia, rzeczowo konsultują zakupy u siwej pani. Sprawiają wrażenie poważnych, wytrawnych kolekcjonerów w sklepie filatelistycznym. Dla ich konsumpcyjnych potrzeb pracuje potężny przemysł pornograficzny produkujący zdumiewające ilości periodyków, filmów, video-kaset, gadgetów i konfekcji. Opuszczam perwersyjne regiony kościoła św. Klary, wspominając sentencję św. Tomasza z Akwinu: „Społeczeństwo bez prostytucji jest jak pałac bez kloaki".

Niepokojący komentarz do szwedzkiego grzechu znajduje w ostatnim filmie Ingmara Bergmana „Z życia marionetek" zrealizowanym jeszcze dla zachodnioniemieckiego producenta. Nawiasem mówiąc, Mistrz wprawdzie już się pojednał ze szwedzkimi władzami podatkowymi, ale podjęte umowy trzymają go ciągle w RFN. Otóż w tym filmie Bergman zajmuje się drobiazgową psychoanalizą zbrodni, w której ofiarą głównego bohatera, 30-letniego dobrze sytuowanego i ustabilizowanego urzędnika staje się prostytutka zamordowana na zapleczu erotycznego kabaretu. Film jest próbą wyjaśnienia motywów tego mordu. Tym razem kolejny bergmanowski spektakl ludzkiej duszy zostaje rozegrany z udziałem psychiatry, żony bohatera, jego przyjaciela i jego samego. Filmowy teatr „gadających głów" Z tej polifonii wyłania się diagnoza, którą Bergmanowi od a do z podyktował doktor Freud. Peter zabił, ponieważ był stłumionym homoseksualistą, a jego stosunki z kobietami wynikały z agresji, której przyczyną była dominacja matki Schemat Freuda tak dokładnie respektowany w scenariuszu sprowadza psychologiczną materię filmu do abstrakcyjnego wywodu psychiatrycznego ilustrującego z góry założoną tezę, do tytułowego spektaklu marionetek tym bardziej że w tym koncercie zabrakło Mistrzowi jego znakomitych instrumentów, czyli jego znanej szwedzkiej ekipy aktorskiej. Wrażenie to pogłębia rygorystyczna forma obrazu, którego kompozycja opiera się na surowym kontraście bieli i czerni. Mimo to, a może raczej właśnie dlatego, dzieło to zdaje się odzwierciedlać drugą stronę medalu szwedzkiej obyczajowości, która pod pozorami w pełni wyzwolonego seksu i jego swobodnej ekspresji ukrywa ciemne popędy i nieuświadomione, kryminogenne kompleksy, rezultaty protestanckiego wychowania. Film powstał w RFN, ale tamtejsze realia nie zacierają doskonale znanej z innych utworów Bergmana problematyki psychologicznej.

Fakt, że kolejny film Bergmana, samotnego giganta szwedzkiej kinematografii powstaje poza granicami jego ojczyzny, jest symptomatycznym potwierdzeniem tego, że kinematografia ta de facto nie istnieje. Zredukowana do ilości około 20 tytułów rocznie produkuje blade historyjki obyczajowe niewarte wspomnienia. Zwiedzam natomiast imponującą siedzibę instytucji, która stała się źródłem renesansu kina szwedzkiego w latach sześćdziesiątych. Szwedzki Instytut Filmowy, bo o nim mowa, powstał w 1963 r. jako kulturalna inicjatywa państwa, które postanowiło wesprzeć finansowo rodzima produkcję, przeznaczając 10 proc. dochodu z biletów na rozwój filmowej sztuki i kultury. Z tego pomysłu zrodziła się szwedzka Nowa Fala która zwarła szeregi pod hasłami protestu przeciwko ekranowej metafizyce Bergmana w imię nawiązania do codziennej rzeczywistości. Z historii wiadomo, że antybergmanowska rewolta przeciwko „kinu papy" rozpłynęła się w niebycie po kilku filmach skądinąd ciekawych, co zbiegło się — być może nieprzypadkowo — z przeprowadzeniem się w 1970 r. do nowego gmachu. Jego kształt architektoniczny, założenia organizacyjne i prefekcyjna funkcjonalność, przerastają najśmielsze marzenia twórców kultury.

Położona w otwartej przestrzeni bryła budynku przypomina jeden z utopijnych projektów radzieckich konstruktywistów z lat dwudziestych. W jej wnętrzu znalazło pomieszczenie — obok Instytutu Filmowego — kilka instytucji kulturalnych: Muzeum Teatru Drottningholm, Instytut Dramatyczny kształcący cały szereg filmowych profesji, Wydział Sztuki Teatralnej i Filmowej Uniwersytetu w Sztokholmie i Szkoła Tańca. To sąsiedztwo kilku pokrewnych muz stwarza doskonałe warunki do inspirującego przepływu idei i szerokiej, interdyscyplinarnej współpracy pomiędzy ludźmi zajmującymi się sztukami widowiskowymi. Sam gospodarz tego Parnasu, Szwedzki Instytut Filmowy, na którego czele stoi obecnie niegdysiejszy leader szwedzkiego nowego kina, reżyser Jörn Donner tworzy ideał instytucji zajmującej się tworzeniem i rozpowszechnianiem kultury filmowej. Obok pionu produkcyjnego, który dysponuje dwoma obszernymi halami zdjęciowymi i nowoczesnym zapleczem technicznym pod tym samym dachem znajduje się tutaj pion naukowo-archiwalny. Znakomicie wyposażona biblioteka, dział dokumentacji prasowej, archiwum filmowe zawierające około 7.300 tytułów, największe na świecie archiwum fotosów (1.250 tys.), archiwum plakatów filmowych — to wszystko musi robić wrażenie na kimś, kto przyjeżdża z kraju o bogatej tradycji filmowej, której skarby bezpowrotnie niszczeją w skandalicznych warunkach. Tutaj też znalazły schronienie redakcje filmowych periodyków ze znanym dwumiesięcznikiem „Chaplin" na czele, a także organizacje różnych form dystrybucji filmu z federacją dyskusyjnych klubów filmowych włącznie. Trudno zatem wyobrazić sobie bardziej doskonałe warunki do integracji filmowego środowiska niż tutaj, gdzie filmowcy, teoretycy, archiwiści, krytycy i działacze kultury filmowej w jednym stoją domu. Tym bardziej że idealnym forum do nawiązywania kontaktów twórczych może być działalność Klubu Filmowego, w którym codziennie oprócz poniedziałku można obejrzeć dwa filmy z bogatego repertuaru ułożonego według różnych kryteriów w bardzo atrakcyjne cykle (w lutym pokazywano tu m.in. „Historie Japonii i film", twórczość Roberta Rosselliniego, Petera Watkinsa i Luisa Bunuela). A jednak...

A jednak zwiedzając ten wcielony sen miłośnika kina, ten prawdziwy Cinemaland, odniosłem wrażenie, że perfekcyjny byt ten instytucji bynajmniej nie wyzwala filmowej świadomości, nie służy skutecznie bujnemu rozkwitowi twórczości zarówno artystycznej, jak i teoretycznej. Być może osiągnęła ona ten poziom organizacji, na którym — zgodnie z Parkinsonem — następuje biurokratyczne skostnienie paraliżujące twórczą działalność Spiritus flat ubi vult. Wydaje mi się jednak, że w rzeczywistej funkcji społecznej Instytutu Filmowego przegląda się zasada, która rządzi całym życiem szwedzkiego społeczeństwa. Jest to zasada odwrotnej proporcji pomiędzy bogactwem dóbr cywilizacji materialnej a ubóstwem potencjału kultury duchowej. Słowem — bogato, ale nudno.

I kiedy wróciłem do Polski zgnębiony — a jednak... — narzucającym się kontrastem pomiędzy szwedzkim błogostanem a naszym bałaganem samopoczucie poprawiło mi hasło, które przeczytałem w gmachu strajkujących studentów przy al. Kościuszki: „It's exciting to be Polish!".

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

URLOP DLA MAMY

Dyskusji mamy teraz tyle, że nie starcza mi wolnych sobót, ani wieczorów domowych, ani nawet godzin pracy na przeczytanie wszystkich, niezmiernie ciekawych artykułów. Nie wiem co prawda, dlaczego nikt nigdy nie zająknie się w sprawie minimum socjalnego, która to sprawa też stanowiła przecież przedmiot trudnych rozmów sierpniowych w stoczni. Władysław Machejek już się w „Życiu Literackim" zdziwił, możemy się tu dziwić z nim razem, ale widocznie takie tam głupstwo jak owo minimum może spokojnie zaczekać, a tymczasem załatwia się metodą catch as catch can wolne soboty i obsadę personalną niektórych stanowisk.

Wśród wielu tematów, o których się pisze, przebija się tu i ówdzie temat przedłużonych, płatnych urlopów macierzyńskich. Za urlop płaci się jak wiadomo normalne wynagrodzenie, a nawet „średniówkę" z poprzedzających trzech miesięcy, czyli oprócz wynagrodzenia jeszcze średnią premii, honorariów i tak dalej. Jeśli więc potraktujemy zwolnienie młodej matki na przeciąg paru lat jako urlop, to uznamy tym samym, że podchowanie malucha zupełnie inaczej kosztuje w rodzinie sprzątaczki, a inaczej — kiedy jego matką jest świetnie zarabiająca pani docent, czy pani inżynier, czy — modna piosenkarka na etacie „Estrady". Nic by też nie stało na przeszkodzie, żeby tuż przed przyjściem na świat potomka jego mama nie postarała się o „średniówkę" jak najbardziej korzystną. Wiemy, jak to się robi. Na trzy miesiące można uruchomić różne chody, awanse, premię, możliwości, zakład pójdzie na pewno na rękę, to przecież przyjemnie okazać się szczodrym z nieswojej kieszeni. Reasumując, myślę, że nie ma rozsądnego powodu, żeby noworodkom już w momencie przyjścia na świat dawać różne warunki i przywileje. Żeby kobiecie świetnie zarabiającej dodać na dziecko bardzo dużo, a kobiecie bliskiej minimum socjalnego — zapewnić równie minimalny dodatek macierzyński. Myślę, że sprawiedliwiej byłoby mówić nie o „płatnych urlopach macierzyńskich", tylko o państwowym, r ó w n y m d l a w s z y s t k i c h „wynagrodzeniu" za wychowanie nowego obywatela.

Nie wnikając dalej w meritum sprawy, chciałem chwilę zatrzymać się nad tym, do jakich to argumentów sięgają dyskutanci, żeby uzasadnić konieczność odpłatnego niepracowania młodych matek. Oto dwa listy z „Kobiety i Życia" z dnia 30 listopada 1980 roku.

Czytelniczka z Kielc pisze:

„Zapewniam ponadto mających wątpliwości, że płatne urlopy macierzyńskie wcale nie spowodują seryjnej produkcji dzieci. Dziś matki są na to zbyt świadome, nawet te bez wielkiego wykształcenia".

Tuż obok pani Bogumiła Wiercholla, laborantka, pisze tak:

„Na pewno większość kobiet, i to bez względu na wykształcenie, decydowałoby się na 2+3, czy choćby 2+2, mając w perspektywie możliwość korzystania z dłuższego, płatnego urlopu".

No i teraz bądź mądry: czy należy wprowadzić płatne, długie urlopy macierzyńskie, bo to spowoduje zwiększenie przyrostu naturalnego, czy też należy płacić, bo to i tak nie spowoduje przyrostu? Ewidentna sprzeczność. Z tych dwóch twierdzeń co najmniej jedno musi być fałszywe, inaczej Arystotelesowska „zasada wyłączności" przestanie się nagle sprawdzać. Ale nawet jeśli jedno, obojętne które, jest prawdziwe — to czy już przesądza sprawę? Czy j e d y n y m kryterium ma tu być ilość rodzących się dzieci? Przecież chodzi nam przede wszystkim o ich późniejszą jakość: zdrowie fizyczne, inteligencję, wrażliwość, nawyki społeczne i ludzkie. Słowem — o dobrego, dobrze wychowanego obywatela, o to, żeby każdy mógł swe najwcześniejsze dzieciństwo wspominać jako szczęśliwy, bezpieczny czas, spędzony w atmosferze matczynej opieki i miłości.

ĆWIEK

POKOLENIE ZDROWYCH

Ostatnie wydarzenia społeczno-polityczne zmieniły i nadal zmieniają widzenie różnych spraw. Okazało się nagle, że system finansowania sportu nie był najlepszy i mecenasi, a więc załogi fabryk i przedsiębiorstw, postanowili wycofać się z tego. W Wałbrzyskiem na przykład, z tego powodu, okazało się zbędnych 70 nauczycieli wychowania fizycznego i zwrócono się do władz oświatowych, aby zabrały sobie tę siedemdziesiątkę.

Tygodnik „Perspektywy" z 27 lutego 1981 r. przynosi rozmowę Jacka Semkowskiego z dr Jerzym Skorowskim, dyrektorem Departamentu Kultury Fizycznej, Turystyki i Zdrowia w Ministerstwie Oświaty i Wychowania. Departamentu — dodajmy — właśnie likwidowanego. Punktem wyjścia tej rozmowy są dwie tezy: pierwsza — że oglądanie sportu w telewizji nie ma nic wspólnego z uprawianiem sportu, druga — że wychowania fizycznego uczy się tak samo jak historii, polskiego, matematyki, a więc skoro nie ma Departamentu Matematyki, to po co Departament Wychowania Fizycznego. Ale jest jeszcze i trzecia teza — najpoważniejsza, że troska o zdrowie każdego pokolenia zaczyna się w szkole, jeśli nawet nie w przedszkolu.

Tu wypada zrobić dygresję i odnotować niejako poza tematem uwagę o stale rozrastającej się biurokracji. Przerost administracji jest faktem i trzeba z tym walczyć. Nie jestem jednak przekonana, że likwidowanie skutków da oczekiwane rozprawienie się z przyczynami. Przeciwnie. Nic to nie zmieni. Zlikwidujemy jeden departament, kilka wydziałów w różnych biurach, kilka biur nawet, a wszystko odrośnie pod inną postacią, w innym miejscu biurokratycznego organizmu. Przyczyny tkwią bowiem w samym organizmie. Ale jest to inny temat. Wróćmy do wychowania fizycznego w szkole.

Ile czasu poświęca się na naukę wf w szkole? Bez wątpienia mniej niż potrzeba i mniej niż można. Na ogół wf nie docenia się i jak trzeba, to rezygnuje się z niego na rzecz innego przedmiotu „ważniejszego". Dyskusja trwa nad tym, czy nie przeznaczyć t r z e c h godzin w tygodniu na wf, chociaż tych godzin powinno być przynajmniej s z e ś ć. Naukowcy twierdzą, że dziecko, aby się normalnie rozwijało, i aby wyrosła z niego zdrowa kobieta, albo zdrowy mężczyzna, musi ćwiczyć intensywnie pod okiem fachowca przez 10—12 godzin w tygodniu.

Rzeczywistość wychowania fizycznego w szkole jest smutna. Po pierwsze — brakuje 10 tysięcy sal gimnastycznych. Dziś są jeszcze takie dzieci, które kończą szkołę, wkraczają w życie dorosłe, a nie widziały sali gimnastycznej na oczy. Brakuje basenów pływackich. No i brakuje nauczycieli wf. Pracuje ich 17 tysięcy, a brakuje 10 tysięcy. I nie zmieni się to do 1985 roku.

Wielką sprawą jest tak zwany bilans zdrowia dzieci. Badania prowadzi się co 4 lata i obejmuje się nimi dzieci w wieku 6, 10, 14 lat. Dzięki temu można prześledzić tendencje, jakie występują w młodym pokoleniu. Otóż dr Jerzy Skorowski utrzymuje, że jeśli chodzi o chłopców, to nie ma większego niebezpieczeństwa, rozwijają się normalnie do 18 roku życia. Natomiast rozwój fizyczny dziewczynek zatrzymuje się w 13—14 roku życia. Jest to zupełnie niezrozumiałe, a co gorsze niebezpieczne, bo są to przecież przyszłe matki i takie zatrzymywanie się w rozwoju fizycznym może rzutować na przyszłe pokolenia. Sprawa nie jest więc bagatelna.

Poza tym dr Jerzy Skorowski utrzymuje, że nieprawdą jest, iż około 80 procent młodzieży ma wady postawy. Jest to bowiem wynik matematycznego sumowania różnych wad, a często idą one w parze i występują u tego samego dziecka. Jego zdaniem — a opiera je na wynikach badań — wady postawy występują u 8 do 12 procent młodzieży. Pocieszające to, ale znów nie do końca, bo młodzieżą tą trzeba się zająć, a nie bardzo ma kto i kiedy. A poza tym około 10 procent młodzieży wykazuje niebywale niską sprawność fizyczną.

Ministerstwo Oświaty i Wychowania opracowało bardzo dobry program dla dalszego rozwijania wf w szkole. Z programu tego skorzystał GKKFiS wprowadzając jego fragmenty do swego programu. Piękne to, ale i dość smutne. Samym programem, nawet niebywale dobrym, kultury fizycznej w narodzie się nie podniesie.

BOGDA MADEJ

DOM NA ZŁOTEJ

Spośród wszystkich form artystyczno-programowych, które wykształciła telewizja nadając im swoje specyficzne piętno, serial bezsprzecznie wysuwa się na plan pierwszy. Jak wskazują liczby, seryjny film telewizyjny ma najliczniejszą widownię bez względu na swoją wartość. Prezentując na małym ekranie jakikolwiek serial z góry można zakładać, iż będzie on oglądany przez 60—70 procent ogółu widzów. Nie wdając się w rozważania na temat socjo-psychologii odbioru serialu, trzeba powiedzieć, że taka jego uprzywilejowana pozycja rodzi określone niebezpieczeństwa. Popularność tej formuły fabularnej, jej — jak się rzekło — aprioryczna akceptacja może prowadzić do obniżenia wymagań artystycznych i ideowych stawianych serialom. Serial, tak jak powieść popularna, musi zmieścić się w rygorach określonej konwencji, która determinuje, także określony, stereotyp oczekiwań wielomilionowej widowni. Liczy się zatem warsztat, logika fabuły, konsekwentna konstrukcja poszczególnych wątków, odpowiednia do treści motywacja losów bohaterów itd. To z kolei prowadzi do wniosku — pozornie sprzecznego z tym, co powiedziałem na wstępie — że zrobić dobry serial jest o wiele trudniej niż dobry, „normalny" film.

Prezentowane w ciągu ostatnich miesięcy w TvP filmy seryjne napawają optymizmem co do polityki repertuarowej szefów z Woronicza. Obejrzeliśmy m.in. „Waszyngton za zamkniętymi drzwiami", „Michała Strogowa", „Martina Lutra Kinga", oglądamy jeszcze angielską „Annę Kareninę". Teleranek powtarza „Rodzinę Leśniewskich". Prawda, że mieliśmy także (aby nie rozpłynąć się w tym optymizmie) „Rajdości i troski Dominiki", czechosłowacki film „Pod jednym dachem", po raz n-ty „Czterech pancernych" (dzieciarnia znów bije się o to, kto ma być Jankiem w czołgu z krzeseł). Ale i te seriale pewnie ktoś (liczony też w milionach) ogląda.

Statystyczne rekordy oglądalności bije oczywiście „Dom" — jego widownię oblicza się w granicach 70—85 procent wszystkich potencjalnych spektatorów. Nie będę tego przeliczał w liczbach bezwzględnych, aby móc bez psychicznego zamętu skończyć felieton. Jeszcze raz potwierdza się, obiegowa już prawda, że serial polski, a zwłaszcza ten oparty o współczesne i aktualne realia, spotka się z ogromnym rezonansem społecznym. Właśnie: „współczesne i aktualne realia". Autorami scenariusza „Domu" są Jerzy Janicki i Andrzej Mularczyk, czyli dwaj autorzy, którzy jako jedyni (chyba nie przesadzam?) opanowali sztukę konstruowania fabuł dla potrzeb telewizji i radia w stopniu zadowalającym. Inaczej mówiąc — mam na uwadze ich dotychczasowe dokonania — Janicki i Mularczyk zawsze prezentują solidny warsztat scenopisarski wywodzący się z reportażu, socjologicznej obserwacji, z przypatrywania się życiu. Nie jest to może literatura przez duże L, ale przecież ich pisarstwo — z założenia — pełni funkcje służebne wobec radia, kina i telewizji. Sprawdza się zatem we współdziałaniu środków tychże form przekazu. Nie chciałbym obniżać zasług autorów „Domu" wskazując na konteksty „osiągnięć" naszego scenopisarstwa (patrz inne seriale), ale rzeczywiście na tym tle szarej przeciętności ich nazwiska błyszczą całkiem, całkiem.

Prawdę mówiąc, po obejrzeniu siódmego odcinka, który zakończył część pierwszą serialu, liczę bardziej na to co obaj autorzy zapowiadają w odcinkach następnych (dwunastu). Zdaje mi się bowiem, że premiera „Domu" nie natrafiła na właściwy czas. Wyobraźmy sobie, że nie było Sierpnia (wiem, że to przekracza nasze możliwości, ale spróbujmy), nie było miesięcy, które po nim nastąpiły, że pławimy się wciąż jeszcze w falach propagandy sukcesu, że „Człowiek z marmuru" (oczywiście prawem kaduka) jest jeszcze tu i ówdzie do obejrzenia, że obchodzimy hucznie rocznicę Nowej Huty, że... (ileż tu jeszcze możliwości!). A w telewizji dają „Dom" (może nie pocięty!). Jak wtedy zacieralibyśmy ręce, dowiadując się, że Łukasz Zbożny został aresztowany, jak wówczas mrugalibyśmy porozumiewawczo okiem, oglądając wątek średniego z Talarów. Dziś te społeczno-polityczne aluzje rozmyły się w nadmiarze rodzajowości kolorowych obrazków, raczej śmiesznych, komediowych, niż groźnych i tragicznych. Pisze dziennikarz organu TvP, czyli tygodnika „RTv": „(„Dom" to) Próba rekonstrukcji przykładów łatwych karier, opartych na głoszeniu nie zawsze zrozumiałych, demagogicznych haseł, karier nie popartych rzetelną pracą i wiedzą, powodujących alienację i nierzadko przeciw samym bohaterom się obracających". Może i tak odbieralibyśmy „Dom" gdyby nie tych kilka miesięcy. Dziś — jak powiedziałem — serial ten jest dla nas ciągiem fabuł, choć zręcznie skonstruowanych, ale bez rzeczywistych odniesień do ówczesnego biegu historii. Pisze wspomniany dziennikarz „RTv": „Dom" czyli polskie „Korzenie". Pomijam już fakt, czy jest nasz serial do czego porównywać — złudne w tym niby apologetycznym tytule jest przeświadczenie, że „Dom" naprawdę rekonstruuje genezę naszej współczesności. Nie mam przecież do scenarzystów pretensji: pisali swój tekst z pełną świadomością tego co można jako scenariusz dla Tv przedstawić. Dlatego też z nadzieją będę czekał na dalsze dwanaście odcinków, które wedle słów Janickiego i Mularczyka (w niedzielnym Post criptum) wyznaczane będą datami 1956, 1968, 1970, 1980. Zobaczymy (?!?) te odcinki za dwa lata.

GRZEGORZ GAZDA

OSTATNI SPEKTAKL WISZNIEWSKIEGO

Jak do tej pory właściwie nic z dorobku twórczego **Wojciecha Wiszniewskiego** nie dotarło do szerokich audytoriów (piszemy o tym w tymże numerze, na innym miejscu). Tym więc smutniejsze, tym bardziej dramatyczne, że pierwsze zetknięcie młodego przecież reżysera z widownią, na jaką zasługiwał, nastąpiło już po jego śmierci.

Mówię o spektaklu opartym o prozę **Ladislava Fuksa „Palacz zwłok"**, który oglądaliśmy w ubiegły piątek.

Niewielka książeczka Fuksa jest jednym z najciekawszych i najgłębszych chyba osiągnięć literatury biorącej sobie za cel penetrację czasów pogardy. Lapidarna w swej stylistyce, przesycona swoistą rodzajowością, a i humorem, długo nie zapowiada tego, do czego dojdą jej bohaterowie. Ot, myśli sobie z początku czytelnik, jeszcze jedna opowiastka z życia poczciwych drobnomieszczan, mających swoje przywary i śmieszności, ale przecież w gruncie rzeczy sympatycznych. Tytułowego bohatera wyróżnia tylko zawód, niecodzienny co prawda, ale przecież użyteczny, pełniony sumiennie, z pełnym oddaniem. Dopiero później, gdy zaczniemy zastanawiać się nad drogą, jaką przeszedł bohater od sielanki do zimnych mordów, dostrzeżemy końskie okulary poglądów i życiowych perspektyw, zapowiedź fanatyzmu tkwiącą w całkowitym, bezrefleksyjnym oddaniu zawodowi-misji.

Proza Fuksa jest tak zwarta, tak skondensowana, że wydawać by się mogło, iż nie nadaje się do dalszych zabiegów, skrótów, preparacji wątków. Wojciech Wiszniewski zdecydował się jednak na zabieg tyleż ryzykowny, co i uwieńczony pełnym sukcesem. Jako autor scenariusza skoncentrował swoją uwagę prawie wyłącznie na trzech postaciach, a więc na tytułowej, na żonie bohatera i na jego przyjacielu. Warstwę opisową, tak istotną u Fuksa, świetnie zastąpiła scenografia **Krzysztofa Domaradzkiego i Ewy Gralak-Jurczak**, znakomicie współtworząca klimat spektaklu, począwszy od znakomitego wyboru miejsc plenerowych, poprzez wnętrza będące kwintesencją mieszczaństwa, aż po sceny orgiastyczno-kabaretowe, jakby żywcem przeniesione z najpiękniejszego snu drobnomieszczanina o zbytku i rozkoszy.

To, czym się wyróżnia spektakl, jest też wzorowa chyba współpraca reżysera, **Wojciecha Wiszniewskiego**, z realizatorem TV **Andrzejem Mellinem**. Nie ma tu kadrów puszczonych, niewypracowanych, zarówno w pierwszym, jak i w dalszych planach. Każde usytuowanie postaci wydaje się być celowe i znaczące, podobnie każdy ruch wewnątrz kadru i każda zmiana planu. Dlatego też w bardzo krótkim w sumie odcinku czasowym Wojciech Wiszniewski mógł zmieścić tak wiele, tak zaborczo zawładnąć wyobraźnię widza.

Osobnej wzmianki wymaga aktorstwo w tym spektaklu, zwłaszcza kreacja, tak, nie waham się użyć tego słowa, **Franciszka Trzeciaka**. Sądzę, że z myślą o nim właśnie pisał Wiszniewski swój scenariusz i na niego przede wszystkim postawił, kiedy rozpoczął pracę nad „Palaczem zwłok". Jest Trzeciak fizycznym uosobieniem najprzeciętniejszej przeciętności, skazany przez swą fizys i posturę na jeden tylko charakter ról. To, co dla aktora o mniejszym talencie mogłoby być nieszczęściem, umie Trzeciak wykorzystać twórczo, jak swój największy skarb. Przestał już epatować widownię brutalnością, knajackim sposobem bycia (co mu się zdarzało w początkach kariery), wyciszył się jakby i przez to stał się w pełni przekonywającym. A więc trafny wybór reżyserski? Tak, ale nie tylko. Trzeciak wykazał, jak mi się zdaje, że tylko on mógł zagrać w spektaklu Wiszniewskiego, że tylko on tak niepostrzeżenie potrafi zamienić w mordercę czułego, wzorowego ojca kochającej się rodziny. A więc i bardzo świadome, zdyscyplinowane aktorstwo.

Wirgiliusz Gryń był drugim ze współautorów sukcesu aktorskiego. Nie pierwsza to już jego świetna rola robiona twarzą, tak wyrazistą i sugestywną, że właściwe sama twarz wystarczyłaby za całą postać. Daje ta twarz ogromną skalę możliwości: widywałem Grynia dobrodusznego, lirycznego (choćby w „Największej świętości" w Teatrze Jaracza), zobaczyłem teraz złowrogiego, cynicznego i brutalnego. Może sobie Gryń wpisać tę rolę w rejestr osiągnięć.

I wreszcie **Barbara Dziekan** z jej najlepszą, ostatnią sceną, w której już wie, czuje, co ją czeka. Widać to w oczach, spłoszonych, niepewnych, którymi już od pewnego czasu widzi męża innego, odmienionego. Na to jednak, żeby Barbara Dziekan mogła tak zagrać tę scenę ostatnią musiała przejść dramatyczną drogę od szczęścia, przez niepewność, poprzez poniżenie.

Chociażby już z wyżej wymienionych powodów można uznać ten spektakl za wydarzenie. A przecież nie wspomniałem o sprawie najważniejszej — o tym, po co został zrealizowany. Niesie on przestrogę, której tłem nie muszą być wyłącznie pochody faszystowskie. Jest to, jak mi się wydaje, spektakl przeciw fanatyzmowi w ogóle, przeciw uzurpowaniu sobie praw wynoszących jednych ludzi nad innymi, przeciw nietolerancji i egoizmowi. Od tego bowiem zaczynają się wszystkie faszyzmy.

Wielka szkoda, że „Palacz zwłok" był pierwszym i ostatnim spektaklem, jaki Wojciech Wiszniewski mógł zrealizować w łódzkim ośrodku telewizyjnym.

J. K.

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy"; al. A. Mickiewicza 11; kod 90—438 Łódź. Telefony: sekretariat i redaktor naczelny 652-44, sekretarz redakcji 680-99, publicyści 677-70. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo do skrótów. Informacje o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW „Prasa—Książka—Ruch" i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej — 156 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa—Książka—Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw 00-958 Warszawa, ul. Towarowa 28, konto NBP XV odd. 1a1 w Warszawie nr 1153 201045-139 prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa—Książka—Ruch" Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 96; kod 90-103 Łódź. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762. Zam. 430. K-11.